Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

# Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 6 października 1935 r. Nr. 40.



## Nie skarżcie się!

Ach, nie skarżcie się, że jesień jest brzydka,
Ze nie lubicie szarugi jesiennej,
Ze świat jest smutny, ponury i szary — —
Musi być trochę i pogody zmiennej,
Ażeby lata móc ocenić czary.

Więc nie skarżcie się, że jesień jest brzydka!
Choć nagie sterczą bez swych liści drzewa,
Choć deszcze łzami ciągle dni nam znaczą,
Pomyślcie: zato wiatr tak rzewnie śpiewa —
W parku tak cudnie... więc precz z rozpaczą!

I nie skarżcie się, że jesień jest brzydka!
Długie wieczory — niech „Moje Powieści"
Urozmaicą Wam wieściami „Ze świata".
Ułudę baśni dadzą Wam powieści —
...Szczęście tak blisko, tuż... jakby za kratą.

O, nie skarżcie się, że jesień jest brzydka!
— W cichym poszumie wirujących liści,
W bajce kolorów, którą niesie jesień,
Niejedno wam się też marzenie ziści,
Tysiące czeka was błogich uniesień...

Danuta Wyrybkowska.




POWIEŚĆ 1)

I.

Stara i pomarszczona kobieta wprowadziła mię do wnętrza. Był to ten sam wielki, nieco ponury pokój z surowem obiciem w ciemne kwiaty. Tak, poznałam go odrazu. Na połupanym kominku, w miejscu, gdzie stały zawsze wazoniki chińskie, osiadła gruba warstwa pyłu. Sprzęty powynoszono, lecz te, które zostały — nieliczne — zdawały się przychylnie spoglądać w mą stronę, wspominając dawną zażyłość. Zwłaszcza kanapa. Ta śmieszna kanapa z wielkiem oparciem, stojąca na pokracznie wykrzywionych nogach...

Ileż razy gramoliłam się na nią, wczepiając dziecinne piąstki w grubo kręconą frendzlę, którą była oszyta! Kawałek tej frendzli, dawniej szczerozłotego koloru, dziś barwy nieokreślonej, zwieszał się jeszcze z jednego boku. Naddarte i przetarte w wielu miejscach obicie ukazywało strzępki waty, czy pakuł, któremi wypchany był szanowny mebel...

Przy całem zniszczeniu, przy całej wyblakłości swojej, jakże niewiele zmieniła się kanapa ciotki Eufemji Klimontowskiej! Znaczne wgłębienie środkowej części zdawało się zachowywać jeszcze szeroki odcisk kształtów korpulentnej damy. Tu właśnie, odkąd siebie i tę kanapę pamiętam, w tem miejscu siadywała niezmiennie ciotka Eufemja Klimontowska, żartobliwie przez Janusza „ciotką rodu“ zwana.

Jakże odległych czasów sięgają te wspomnienia! Byłam jeszcze zupełnie malutka, gdy po raz pierwszy przestąpiłam próg tego pokoju. Wysoki, dębowy próg wydawał się mym czteroletnim stopom trudną do przebycia zaporą, zwłaszcza, że za nic w świecie nie odważyłabym się wychylić głowy z fałdów matczynej spódnicy.

Było to o zmierzchu, o wczesnym zimowym zmierzchu i w pokoju na okrągłym stole paliła się lampa z przymocowanym do abażuru kawałkiem w kilkoro złożonej gazety. Gdyśmy tak brnęły przez tę ogromną bawialnię, zastawioną sprzętami, siedząca na kanapie otyła dama spojrzała, nie podnosząc głowy, z nad okularów. Dotychczas pamiętam krótki błysk oczu czarnych i żywych, stanowiących niezwykły kontrast z opuchłą i pomarszczoną oprawą niemal niemal bezrzęsnych powiek.

Pani Eufemja Klimontowska robiła na drutach czerwony włóczkowy szal, którego wykończona połowa spływała po tłustych kolanach aż do ziemi. Nie odkładając drutów, powstrzymanych tylko w ich migotliwem błyskaniu, stara dama patrzyła czas jakiś uważnie, bez słowa. Patrzyła raczej na matkę, niż na mnie, a jej fałdziste oblicze nie wyrażało żadnych specjalnych uczuć, złych czy dobrych: widniało zeń tylko oczekiwanie.

— Przyjechałyśmy... — rzekła moja matka cichym głosem i nagle, z determinacją odgarniając fałdy sukni, dorzuciła pośpiesznie:

— To jest właśnie Krysia.

W ciszę, jaka nastąpiła po tem oświadczeniu, wpadł nareszcie dźwięk głosu. Głosu tego również nigdy nie zapomnę. Zdawał się wydobywać z pod ziemi, z głęboka, a jednocześnie miał w sobie jakiś ostry, zgrzytliwy ton, taki, jaki wydaje stare żelastwo, uderzone młotkiem.

— No! — powiedziała „ciotka rodu“, odkładając na bok druty. — Mamy teraz, chwalić Boga, grudzień, a tak — wyciągnęła palec w moją stronę — można chodzić w środku lata, jeżeli wogóle dziewczynie wypada pokazywać gołe nogi.

Nie zrozumiałam dobrze treści słów, ale na sam dźwięk głosu łzy napłynęły mi do oczu. Byłabym z pewnością wybuchnęła płaczem, pogrążając w rozpaczy biedną mamę, gdyby nie nowy, niespodziewany incydent: oto tłusty mops, którego nie zauważyłam dotychczas, uniósł potworny swój łeb z poduszki i prostując się na kabłąkowatych nogach, ukazał w szerokiem ziewnięciu otchłań czerwonej paszczy.

To wydarzenie tak całkowicie pochłonęło moją uwagę, że nawet nie dosłyszałam lękliwych objaśnień matki. Dopiero gderliwy głos starej damy przywołał mię do rzeczywistości.

— Jeżeli już w takiej pozycji jesteście, że dziewczyna nie ma nawet całych, porządnych pończoch, to ja jej zrobię na drutach i będzie je odtąd nosiła. Cicho, Acan! — wypowiedziała jednym tchem ciotka, spoglądając bardzo przyjaźnie na psa, który skończywszy ziewać, zawarczał głucho, jakgdyby teraz dopiero zauważył obcych przybyszów.

— Doprawdy... cioteczko... tyle dobroci... — zaszeleścił znów cichy głos mej matki.

— Jestem ciotka. Tak mię nazywaj. Ciotka Eufemja. Niecierpię tych wszystkich waszych spieszczeń! — mruknęła dama, poczem pocałowała mamę w czoło, a mnie w okolicę ciemienia. Jednocześnie głowa moja, przygwożdżona ręką „ciotki rodu“ zginęła całkowicie w fałdach szerokiego kaftana, wypełnionego zaiste imponującą obfitością ciała. Od tej pory zapach piżma, lawendy i trociszek, którym przepojona była, nie wiem już teraz, suknia, czy skóra otyłej damy, stanowi dla mnie nieodłączną całość z jej wspomnieniem, tak samo, jak mops Acan i ruda kotka, imieniem Waćpani, faworytka całego domu.

W przeciwieństwie do mopsa, którego, oprócz fizycznej brzydoty, cechował nader przykry charakter, Waćpani odznaczała się pełną wdzięku pieszczotliwością. Nawet wtedy, gdy wypadło jej skarcić ktoregoś z młodocianych figlarzy, zbyt natarczywie nastającego na jej spokojne, poobiednie far-niente, czyniła to z gracją. Wczepiała w dziecięce ramiona ostre pazurki, ani na chwilę nie rozwierając półprzymkniętych powiek, kryjących szmaragdowy blask oczu. Pełen zadowolenia pomruk, dobywający się z jej gardła, nie ustawał przytem ani na chwilę, zupełnie jakby Waćpani prawiła słodkim tonem kazanie: „A widzisz, kochanku, nie zaczepiaj mnie, gdy tu sobie wypoczywam w ciszy, bo to nieładnie być natrętnym i naprzykrzać się bliźniemu, choćby nawet tym bliźnim był... zwykły kot domowy...“

Skończywszy, z tem samem łagodnem mruczeniem chowała pazurki pomiędzy miękkie poduszeczki łap i zamykała zupełnie oczy dla zaznaczenia, że sprawę uważa za załatwioną.

Ciotka Eufemja wolała mopsa. Wychowała go od szczenięcia, ucząc pić mleko „po palcu“, gdyż pokraczne stworzenie, wskutek jakiegoś nieszczęśliwego wypadku, już w niemowlęctwie zostało pozbawione swej naturalnej opiekunki i żywicielki.

Kiedy przybyłam do Klimontowiec, mops liczył blisko piętnaście lat życia i srodze cierpiał na astmę. Ten właśnie szczegół, być może, przyczyniał się w znacznej mierze do bałwochwalczego przywiązania, jakiem darzyła ciotka swego ulubieńca. Kaszląc i sapiąc oboje, patrzyli na siebie pełnym współczującego zrozumienia wzrokiem.

W rzadkich chwilach rozserdecznienia lubiła ciotka opowiadać o młodych latach mopsa. Opowieści takie były specjalnym faworem, to też każdy z domowników słuchał po stokroć tych samych historyj, usiłując nadać swej twarzy wyraz jak najgłębszego skupienia.

— Gdybyście widzieli, jaki on był śliczny i milutki! Od chwili, gdy nauczył się biegać, nie opuścił mię nigdy, nawet na kilka godzin. Sypiał w nogach łóżka i jadł tylko z mojego talerza... Szerść miał ciemniejszą, miększą niż teraz i pachniał tak przyjemnie...

Tu ciotka zwykle wzdychała i dodawała po pauzie:

— Zapach młodych szczeniąt, to dla mnie perfuma...

Chrapliwy, ostry jej głos nabierał cieplejszych tonów, ilekroć zwracała się bezpośrednio do Acana. Pod szczęśliwą gwiazdą urodził się ten pies, jedyne w całym domu stworzenie, które nie odczuwało zmiennych humorów ciotki Eufemji, zależnych od pór roku, dni miesiąca, a nawet specyficznych godzin dnia.

II.

Mój Boże! Więc prawie całą godzinę spędziłam w tym starym pokoju, na wspomnieniach, nie zdając sobie sprawy, że czas mija!

Dopiero na dźwięk obcego głosu ocknęłam się z zadumy. Baba stała w obramowaniu tęgiej, dębowej futryny, podobna raczej do malowidła starej szkoły niemieckiej niż do żywego człowieka — i patrzyła na mnie przenikliwie.

— Myślałam sobie — rzekła wreszcie. — Co to się stało, że pani z powrotem nie widać? Powiada wreszcie mój stary: zmierzch ciut-ciut, trzeba zajrzeć, co się tam święci!

Zaczęłam przetrząsać woreczek i wręczyłam kobiecie trochę pieniędzy, mówiąc z zakłopotaniem:

— Dziękuję wam, moi kochani. Dziękuję i przepraszam. A jeśli tu jeszcze powrócę, otworzycie mi, prawda? Widzicie, ja ten dom znam od dziecka. Pamiętam...

Dziwna jest ta potrzeba wywnętrzania się przed bliźnim. Ot, co babie do tego: przyszłam, to przyszłam. Nikt mię tu przecież podejrzewać nie będzie, że przyszłam naprzykład kraść pajęczynę, zasnuwającą puste kąty... Zachciało mi się posiedzieć tutaj godzinkę, więc posiedziałam. I nagle mamroczę coś, jąkam się, jak pensjonarka przy tablicy — i to przed kim? Przed obcą kobietą, która tu jest od niedawna i której zależy na wiadomości, jak dawno znam ten stary dwór...

Widocznie moja baba rozumowała podobnie, gdyż, nie przyjmując datku, odezwała się znowu:

— A dobrze, dobrze. Niech paniuńcia przychodzi, ile jej się spodoba! Zawsze ktoś otworzy. Nie ja, to stary. A te papierki, to niech se pani schowa. Jak się nasz mały na książce nauczy, jeszcze my pani pięknie dziękować będziem.

Mały? Aha, to ten z dużą głową wnuczek. Jak to mu? Teoś. Prawda, Teoś. Siedzi pod oknem na trzeciej ławce i struże blat stołu, ilekroć myśli, że tego nie widzę. Dobrze, moja kobieto. Zapamiętam sobie Teosia. Wyuczę go przez zimę. Na „majowe" będzie już czytał z książki, wobec calutkiej wsi. Dobrze.

Wróciłam potem do domu nie przez wieś, ale łąkami. Droga o połowę krótsza i dwa razy piękniejsza. Jak doskonale, po dziś dzień, pamiętałem każdy zakręt maleńkiej rzeczki! Najpierw idzie się trawą jasno-zieloną, spłowiałą od słońca. Trochę niżej, już w dole, rośnie jakiś nadwodny gatunek, o liściach długich, wąskich i chropowatych. Szeleści to pod nogami, łamie się w sztywne zygzaki. Rośnie w kępach, między którymi prześwituje woda. Trzeba stąpać umiejętnie, zagarniając za każdym krokiem pokos tej trawy, niby żywy, zielony pomost, by nie przemoczyć trzewików. A jeszcze dalej, w trawie, która się znowu staje krótka, tylko mocniejsza w kolorze i gęstsza, widnieją, stosownie do pory roku: żółte kaczeńce, lub modre oczka niezabudek, czasem te nieśmiałe kwiatuszki na różowych łodygach, całe jakgdyby z mgły i z rosy utkane. Zerwiesz je — i giną ci w ręku, maleją w oczach, gasną.

Dalej od rzeczki, w miejscach bardziej suchych, łąka aż pstrzy się od kwiatów. Na wiosnę są to przeważnie jaskry, świecące bezczelnie, jak wyczyszczony mosiądz, trochę drobnych dzwonków, kwitnące trawy. Później — łąka staje się jużto krwawa od wysoko wybujałych szczawiów, jużto błękitnieliljowa od skabiozy, rozpanoszonej tu we wszystkich odmianach gatunku i barwy.



*Jesienne podmuchy wiatru sprzyjają wspaniałe zabawie z puszczaniem latawca*

W tej chwili są jeszcze skabiozy, choć to koniec września. Lato było dosyć wilgotne, pewnie dlatego łąka wygląda dotychczas tak świeżo. Więc te skabiozy od tylu lat kwitną rok rocznie tak samo?

„Boże mój... Boże mój..." Idąc powtarzam sobie z zachwytem, potrosze ze smutkiem, te dwa wyrazy. Znów charakterystyczny szczegół: ilekroć byłam w tem miejscu, tu właśnie, gdzie rzeczka nagle zakręca i srebrzy się pod światło, powtarzałam zawsze te same słowa. Piętnaście, dwadzieścia lat temu... Dawniej...

Mój Boże! Mój Boże!...

Mój Boże... Zachwyt mam w sercu ten sam, lecz smutek jakiś nowy. Postarzałam od wczoraj tylko o dzień, a zdaje mi się, że chyba o lat dziesiątek.

Kiedy wchodziłam przez bramę do tej cienistej alei lipowej, byłam bardzo samotna, ale nie czułam ciężaru tej samotności na barkach. Człowiek tak długo nie jest sam, jak długo sobie tego nie powie. A cóż ja powiedziałam sobie wczoraj? No, cóż to sobie mogłam powiedzieć, wróciwszy do małej, ciemnej izdebki, w której własnemi rękoma co wieczór zapalam lampę? Musiałam sobie powiedzieć coś, co jest prawdą bezwzględną: stara już jesteś i bardzo samotna, moja Krysiu. „Taki już porządek na świecie, rybeńko!" — westchnęłaby Balbina, która w latach mojego dzieciństwa miała najpewniejsze lekarstwo na smutek wszelki i gorzkie strapienie: gruszki suszone i śliwki, nadziewane kminkiem...

Ale niema Balbiny, niema gruszek, niema wogóle nic z owych czasów, oprócz mnie samej — i nic tego nie zmieni, nawet fakt, że się tu na starych śmieciach znalazłam. Jestem na tych śmieciach jak liść, wiatrem gnany. Jutro kierunek wiatru zmieni się i — fiut! — żegnaj, mój liściu! Szukaj sobie innego miejsca na świecie, innego schroniska, gdziebyś przylgnęła całą duszą, nim cię los znowu oderwie i hen odniesie.

Zbliżającą się starość przeczuwam nie od wczoraj. Że mam kilka siwych nitek we włosach? To jeszcze drobiazg. Szatynki wcześnie siwieją. A zresztą: „Bodajbyś cudze dzieci uczył" — tak przecież brzmi przekleństwo, choć kto, jak kto, ale te dzieciska kochane siwizny mi nie przysporzyły.

To zresztą także drobiazg. To nie to. I lekki zarys zmarszczek pod oczami, zapowiedź „kurzych łapek" w przyszłości — i ten ledwo widoczny, a przecież widoczny żółtawy ton skóry, przeświecający jakgdyby od wewnątrz — to także nie to. Starość moja, starość, czekająca na progu, to owe dziwne nastroje, którym poddaję się coraz częściej, to ta jakaś m a l a i s e, na którą nie znajduję w tej chwili polskiego określenia. To te okresy smutnych zapadań w zadumę... W zadumę nad czem? Bóg raczy wiedzieć. Nad niczem specjalnem, albo poprostu nad tem, że życie płynie i ucieka mi sprzed oczu coraz chyżej...

„Ucieka?" Zły wyraz. Ja życia nie chwytam za poły, nie staram się powstrzymać go w biegu. Więc nie u c i e k a, ono tylko p r z e c h o d z i. Przechodzi mimo mnie, nawet mnie mija. A niech tam!

Dlatego tak lubię patrzeć w słońce o zachodzie, że zawsze z jednakiem wzruszeniem obserwuję odwieczne zjawisko. Drgnęło? Ostatni raz? Nie: jeszcze błysło. I jeszcze. I jeszcze maleńki rąbek płonie różowo nad linją horyzontu. Podobno tu już jedynie s p e c t r u m słoneczne, lecz drga i płonie tak samo...

Słońce wędruje przez niebo, jak człowiek przez własne życie — i jeden tylko ma zenit: południe. A potem rozpoczyna się pośpieszna wędrówka w dół, ku innej, ku tamtej stronie. Wreszcie, nim wszystko zapadnie w nicość, zszarzeje, zgaśnie, — ta jedna, krótka chwila — jak błysk — która zdaje się trwać nieskończenie... To przejście w inne światy, ten moment, w którym zarówno człowiek, jak słońce w jednym ułamku sekundy przeżywa całe swoje istnienie.

Wszystko to mogło być przewidziane lepiej i piękniej. Nie mam pretensji do celowania w doborze metafor. Jestem zwyczajną śmiertelniczką, nie wynalazłam prochu. Należę do rzędu tych istot, które każda stara prawda, przez nie odkryta, zachwyca i dziwi...

Miałam raz ucznia, który kosztował mię wiele pracy. Chodziło zwłaszcza

o mnożenie, czy dodawanie. Chwilami z rozpaczą sądziłam, że dziecko jest chyba kretynem, skoro w żaden sposób pojąć nie może, iż dwa razy trzy jest sześć, a trzy razy trzy — dziewięć. Przez szereg dni chłopaczek odpowiadał bez sensu, na chybił trafił. Szalałam. Wreszcie pewnego ranka malec niechcący odpowiedział trafnie... I nagle oczy mu zabłysły, klasnął w ręce, wykrzyknął:

— To, proszę pani, jest tak: jak dostanę dwa razy od mamy na tramwaj, to będzie sześć kopiejek, a jak dostanę trzy razy, to będzie... — zastanowił się i po chwili dorzucił triumfalnie: — To będzie dziewięć!

Zrozumiał. Coś błysnęło w mózgu, jakieś pojęcia oderwane skojarzyły się ze sobą, przestały być abstrakcją...

Ilekroć zdarzy mi się w życiu coś zrozumieć, uczynić takie fenomenalne odkrycie prawd znanych i uznanych — przypominam sobie tego malca i nabieram otuchy...

III.

Chaos w myślach trwa nadal. To już czwarty dzień od pamiętnej niedzieli, czwarty tydzień od mego tutaj przyjazdu.

Więc naprawdę można tak długo przetrawiać wspomnienia? Nie uwierzyłabym, gdyby mi powiedziano rok temu, że kiedykolwiek pozwolę się do tego stopnia obezwładnić pierwszej lepszej fali, płynącej z błękitnego Wczoraj ku szaremu Jutru. Czyż doprawdy przeszłość była taka błękitna? Kto wie, może moje bezbarwne „dziś“ nabierze kiedyś przez oddalenie koloru?

Postanowiłam sobie nie odwiedzać zbyt często klimontowskiego zakątka. Zanadto mię obraz znajomy przenika. Jestem później jak klisza, którą wywołano, ale nie utrwalono. Kontury wszystkiego, co żywe wchłaniałam w siebie ongi, zarysowują się wyraźnie, by wkrótce poczernieć w świetle rzeczywistości. Czegoś nie dostaje tym obrazkom z natury. Może c a m e r a o b s c u r a — owo sanktuarjum wspomnień — nie była tak szczelna, jak sobie wyobrażałam?

Na szczęście, tydzień składa się z sześciu dni powszednich i jednej tylko niedzieli... Od ósmej do dwunastej dzieciaki siedzą rzędami na długich ławkach, poustawianych pośrodku tak, że przy każdej ścianie mam wolne przejście. To mi ułatwia kontrolę nad niesforną gromadką. Przechadzam się między trzydzieściorgiem drobiazgu, zaglądam w zeszyty, czasem na kolana, gdzie wzdęty fartuszek świadczy o pokaźnym zapasie antonówek i złotych renet... Mimowoli uśmiecham się w duchu. Te dzieciaki j e s z c z e się mnie boją, a raczej — będą się mnie obawiały zawsze. Jestem dla nich autorytetem, władzą, jednostką wszechmocną, od której zależy wysokość stopni i wymiar kary za każde wykroczenie.

Od drugiej do czwartej następna porcja: dzieci młodsze. Czekam niecierpliwie na przyobiecaną pomocnicę. Kopa móżdżków nieskażitelnie pustych, to trochę za wiele na moje trzydzieści sześć lat, na mój chroniczny katar krtani, na mój sterany organizm.

Chciałabym, aby ta pomocnica nie była koniecznie osobą rutynowaną, z dyplomami, ale musi być młoda i energiczna, musi lubić dzieci i swoją pracę tutaj. Ma wkrótce takie stworzenie przyjechać i zamieszkać na plebanji, gdyż „burmistrz“ (jak to brzmi patetycznie w mieścinie, która się nawet brukami od zwykłej wsi nie odróżnia) nie przystaje na drugą lokatorkę.

Naogół jest mi nieźle wśród tych ludzi. Żyją „po prostemu“, ale jest w nich ta jakaś godność, cechująca tutejszych mieszczan. Podobno po dziś dzień przechowują z pietyzmem papiery, świadczące o przywilejach, nadanych temu „miastu“ przez samego króla Władysława IV-go. Dlatego mieszczanie tutejsi cenią swe pochodzenie narówni z zaściankową szlachtą, której przedstawiciele mam zaszczyt oglądać codzień, drepcących boso przy pługu, gdyż właśnie idzie w najlepsze jesienna orka.

Na wieść o moim przyjeździe burmistrz kazał wybielić czysto izdebkę i wstawić nowe szyby. Było to zresztą koniecznością, gdyż powybijała je tutejsza młodzież, uprawiająca do niedawna dziwny rodzaj sportu. Zabawa polegała na tem, że z nadejściem zmierzchu chłopcy, zgromadzeni na „Ulicy Klimontowskiej“ (jedynej zresztą w całem N.) dzielili się na dwie partje. Jedni nawoływali się w ciemnościach dyskretnem: A hu! A hu!, reszta zaś usiłowała trafić kamieniami w miejsce, skąd dobiegały głosy. Ucierpiało na tem sporo szyb w mieszczańskich i żydowskich domkach, bo były mniej wytrzymałe od łbów tutejszych podrostków. Podobno kres tej pomysłowej igraszce położyła dopiero nasza, polska policja.

Wiele też innych kulturalnych przepisów, mających na celu ochronę zdrowia, a nawet i życia, zawdzięcza miejscowa ludność „polskim rządom“. Ja sama, w dniu przyjazdu, wybałuszyłam oczy na wielki, przyciągający wzrok napis, zawierający niniejszą przestrogę: „M y j r ę c e p r z e d j e d z e n i e m. B r u d n e r ę c e — t o c h o l e r a.“ Sądzę, że zwłaszcza ostatnie słowo, jako najbardziej zrozumiałe, przemówiło do przekonania tutejszym obywatelom polskim.

Kochany, poczciwy ludek, równie poczciwy, jak chytry i równie skryty, jak pobożny. Na zapytanie, kto zacz, odpowie ci z naiwną prostotą:

— Ja tutejszy, panoczku.

A jeśli pragniesz czegoś więcej się dowiedzieć, pociągnąć za język, wówczas djalog powtórzy się niezmiennie, jak Kanon:

— Wy tutejszy? Więc znaczy się Polak, katolik?

— Taż hawariu, panoczku, szto ja tutejszy.

— No dobrze, dobrze. A katolik, czy prawosławny?

— Ja, panoczku, polskiej wiary, tutejszy znaczy. Prawosławne n a c h o d z ą s i ę w drugiej wsi, a katoliki musi na polskiej stronie.

Czyli poprostu stoi przed tobą białorus, katolik jak się patrzy, nawet nie unita, choć nie brak w okolicy takich, którzy ongi przekradali się nocą lasami na chrzty i śluby.

Dziwny zakątek kraju. Niemal w samem sercu Polski leżący, a na pograniczu dwóch kultur, wschodniej i zachodniej. Ta „polska strona“ w której mieszkają „katoliki“ to — była Kongresówka, a zaraz o miedzę, ściślej mówiąc, za pasem bagien mieszkają ci, „tutejsi“ ale koniecznie „polskiej wiary“.

Język też mają swoisty. Ni białoruski, ni polski. Nijaki. W sąsiedniej gminie już mówią „po ichniemu“ tu — „po prostemu“, a jak bardzo do muru przycisnąć — po polsku, boć przecie i wiara polska i ksiądz kazania polskie mówi i niemasz takiego, któryby nie zrozumiał, chyba dziecko maleńkie.

Z proboszczem, poprawdzie, przyjaźń nie taka wielka, jak ongi z księdzem Urbanowiczem, którego grzmiące kazania budziły grozę w mem dziecięcem serduszku.

Łajał, bo łajał. Często wcale niewybredne słowa padały z ambony, a jednak mir miał wielki i posłuchanie wśród ludzi.

— Czy oni byli bardzo niegrzeczni, że się ksiądz proboszcz tak gniewa? — pytałam nieraz, ciągnąc matkę za rękaw.

Potężny bas księdza Urbanowicza huczał w kościele, grzmiał, niczem organy, a uderzenia wielkich, żylastych pięści wtórowały twierdzeniu, że zgnilizna moralna szerzy się pośród parafjan.

— Arystokratowie i socjaliści... hm... Demokratowie i nihiliści... hm... Wszyscy oni wyznają jednom wiarem bezwyznaniowom, hm... Albowiem i szatan bezwyznaniowym jest! — wypalił kiedyś staruszek podczas politycznej dysputy, którą Janusz Klimontowski stale zagajał w popołudnia niedzielne, ku radości wszystkich bowiem najzacniejszy pod słońcem proboszcz zwykł był mieszać nazwy różnych prądów i ugrupowań społecznych, nie rozeznając ich jasno.

Drogi, kochany ksiądz Maciej! Kiedy mię (bardzo już dawno) spłakaną i wystraszoną przyprowadzili do pierwszej spowiedzi, położył mi ciężką rękę na głowie i jął uspakajać swoim tubalnym głosem:

— Nie bój się, moje dziecko. Podejdź śmiało i wyznaj wszystkie grzechy swoje. Święta Marja Magdalena wielką była grzesznicą, a przecież Pan Jezus miłosierny wszystko jej przebaczył.

Miałam wówczas niespełna dziewięć lat...

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

MARJA REUTT

# Przeznaczenie

1).

## ROZDZIAŁ I.

Na małej wysepce Isola Bella jak gdyby zagubionej w falach morza Śródziemnego, bijących o skaliste brzegi Sycylji, było ich tylko dwoje. Ona smukła zgrabna i gibka w niebieskim kąpielowym kostjumie, gumowych pantofelkach na drobnych stopach i takiejże niebieskiej czapeczce na kasztanowatych włosach, on wysoki, muskularny, rasowy, w czarnym kąpielowym kostjumie, rysującym ostro jego sylwetkę na żółtym nadbrzeżnym piasku.

Oboje młodzi, piękni, kształtni, bliscy sobie, a jednocześnie dalecy i nieznani.

Przyciągnął ich tutaj na tę skalistą wysepkę urok Taorminy, urok ciszy i spokoju.

Dziewczyna stała na małej skale wystającej z dna morskiego, przykrytego cienką warstwą pieniącej się migotliwej i ruchliwej wody. Założyła ręce za głowę i jasnemi niby lazur nieba oczyma wpatrywała się w siną dal morza, podobna na tle skał, zieleni i żółtego piasku do jakiejś greckiej Najady, która wyszła z grot nadbrzeżnych i za chwilę może rozwieje się jak piękne słoneczne widmo.

— Prawda, że ten zakątek świata jest cudny — przemówił po włosku mężczyzna, jakby odruchowo. Nie patrzył na stojącą niedaleko niego dziewczynę. Oczyma ścigał wełniste fale morskie i blaski słońca migocące na ich grzbietach.

— Prześliczny — odpowiedziała dziewczyna nie odwracając wzroku od bezbrzeżnej dali widnokręgu.

Gdzieś poza nimi daleko wypadł z licznych tu tuneli pociąg i bił rytmicznym łomotem kołami w szyny. Przeleciał sapiąc i dysząc i skrył się znowu w tunelu. Przez chwilę wisiał w powietrzu zapach węglowego dymu. Samotność i ciszę zmącił brutalny zgrzyt cywilizacji i wyrwał oboje z chwilowej zadumy.

Dziewczyna opuściła ręce i spojrzała w stronę mężczyzny. Stała nieco z boku o kilka stóp powyżej nad nim. Patrzyła w jego stronę oczyma, w których widział i wspaniały błękit południowego nieba i szmaragd wiecznie żywej toni morskiej. We włosach, które niesfornie wystawały z pod obcisłej czapeczki igrało słońce, zapalając na nich skry złota. Śmiejąc się wyciągnął ku niej rękę.

Bez chwili wahania oparła się na jego dłoni i zeskoczyła ze skały na miękki piasek.

Trzymając się za ręce poczęli biec krętemi skalistemi ścieżkami ku zatoce. Przeszli przez płytki zalew, oddzielający wysepkę od plaży, a następnie ruszyli naprzeciw płynących z morza fal. Dziewczyna ani przez chwilę nie usiłowała wydostać swej ręki z silnej męskiej dłoni.

Jakaś większa i silniejsza fala powaliła ich z nóg. Płynęła teraz dziewczyna o lazurowych oczach obok nieznajomego jej mężczyzny. Płynęli obok siebie bez słowa, nurzając się od czasu do czasu w falach, które przewalały się ponad nimi. W pewnej chwili zawrócili do brzegu. Płynęli znowu razem bijąc fale rytmicznemi uderzeniami ramion.

Zdyszani, ociekający wodą wyszli na brzeg na gorący, rozpalony słońcem złoto-żółty piasek.

Było im dobrze. Mieli wrażenie, że znają się już oddawna. Czuli gdzieś w głębi swych dusz i serc, że mimo, iż przed pół godziną jeszcze nie wiedzieli o swem istnieniu, łączyło ich coś kiedyś, gdzieś, w dalekiej przeszłości.

Niedaleko na drugim końcu półkolistej plaży kołebał się w swej łódce stary rybak, patrząc w stronę młodych i czekając, aż może go zawezwą, by wypłynął z nimi na morze. Gdzieś dalej naprawiali robotnicy drogę. Czasem dolatywał od strony pracujących jakiś śmiech, czasem odzywały się nawoływania. Poza tem cicho tu było i odludnie.

Sezon nie zaczął się jeszcze. Od will i hoteli nadbrzeżnych wiała pustka. Mało kto zapędzał się w tę ustronną część plaży od strony Isoli Belli. Nie przyjeżdżali tu rybacy, gdyż nie było w pobliżu miejsca połowu. W początkach sezonu nie liczyli też na zarobki, gdyż mało było letników.

Z dalekiej wieży ratuszowej doleciało miarowe, dźwięczne bicie zegara.

— Jedenasta — odezwał się prawie szeptem mężczyzna.

— Boże, jak już późno — odpowiedziała dziewczyna. Poderwała się szybko z piasku i pobiegła w stronę budek kąpielowych. Po chwili wróciła otulona w niebieski płaszcz kąpielowy.

— Muszę już iść — odezwała się do towarzysza. Uśmiechnęła się przytem przyjaźnie i wesoło.

Patrzył na nią oczyma, w których przebijało się jakieś ciepło, jakiem darzy się kogoś bardzo bliskiego lub też jakie maluje się w ludzkich oczach na widok małych dzieci. Uśmiechnął się także. Była w tym uśmiechu jakaś tkliwość i rzewność.

Nie podała mu ręki na pożegnanie, skinęła tylko złotokasztanowemi lokami i pobiegła przez pustą plażę. Widział ją jeszcze jak przekraczała jezdnię i wbiegała przez furtkę do małego ogródka. Potem jeszcze mignęła jej sylweta przed jego oczyma w chwili, gdy wbiegała po schodkach do małego domku, wciśniętego między dwie piętrowe wille. Mały domek nosił szumną nazwę „Pałac Róż".

Biegnąc odwróciła w pewnej chwili głowę i krzyknęła w jego stronę:

— Do jutra.

— Do jutra — powtórzył jak echo.

Przybył tu z dalekiej północy szukając słońca i ciszy. Nocne hulanki, nieskoordynowany tryb życia, jakiś wypadek samochodowy, wszystko to razem skończyło się rozmową z lekarzami, którzy po naradzie wydali wyrok skazujący go na wygnanie na dalekie południe.

Urodził się w krainie równin i niemal, że wiecznych śniegów. Znał urok białych nocy i niesamowite piękno polarnych zórz. Kochał góry i słońce. Kochał morze. Nie znosił sztywnego życia towarzyskiego i nie znosił blagi i gwaru życia wielkomiejskiego.

Rok rocznie wyjeżdżał w Alpy. Bywał w Szwajcarji, zapędzał się do południowej Francji i błądził po zacisznych dolinach i pokrytych wiecznym śniegiem szczytach. Tego roku słuchając słów lekarzy, zapędził się aż na Sycylję.

Wybrał czas, w którym turyści i bywalcy modnych plaż wolą Deauville, St. Juan, St. Sebastian od spokojnej Sycylji.

Leżał teraz na piasku, a przymknąwszy oczy rozkoszował się ciepłem słonecznych promieni. U nóg jego szumiało morze odwieczną pieśnią, ponad nim na pogodnem niebie płynęły samotne obłoki. Od miasta dobiegał stłumiony gwar. Był sam. Czekający na zarobek rybak odpłynął, robotnicy skończyli swą pracę i odeszli na odpoczynek południowy. Słońce poczęło przypiekać.

Południe zapowiadało się upalnie. Podniósł się leniwie z piasku i wszedł do wody. Płynął wolno, poddając się biernie igraszce fal.

Orzeźwiony kąpielą wyszedł na brzeg i otrząsając się z wody, podążył w stronę budek kąpielowych. Przebrał się szybko i ruszył w stronę miasta. Głowę miał pełną myśli o uroczej nieznajomej.

Właściwie nie była piękna. Miała zbyt szerokie usta i może za grube rysy. Usiłował przypomnieć sobie jej sylwetkę.

A jednak jest ładna — powiedział głośno sam do siebie. — Mój typ.

Było w niej coś, co go chwyciło za serce. Miał wrażenie, że zna ją już oddawna. Czuł, że jest mu bliską.

Widział już wiele pięknych i uroczych kobiet. Tyle ich znał. Miał przecież sławę Don Juana. Nudziły go jednak te wszystkie kobiety. Czuł jakiś niesmak na ich wspomnienie.

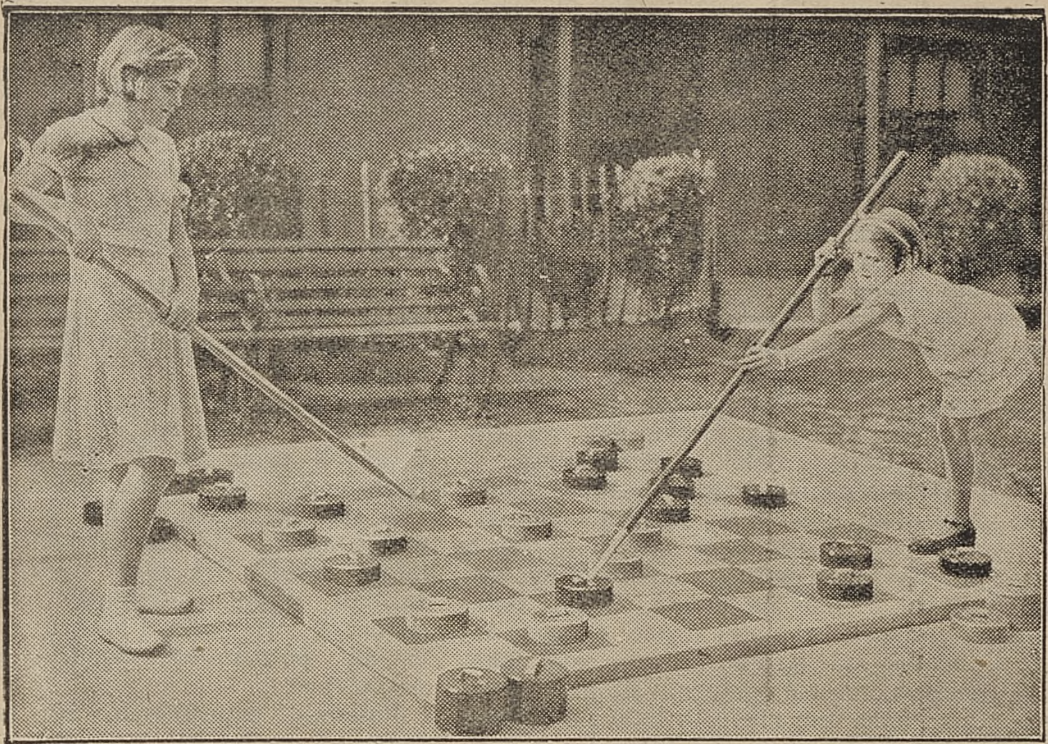
Ta pierwsza obca, nieznana z nazwiska i imienia stała się nagle treścią jego duszy. Wzbudziła w nim jakąś dziwną tęsknotę i jakieś nieokreślone pragnienie. Uczucia jakie się zrodziły na jej widok były odmienne od tych, jakie powstawały w obcowaniu z legjonem tych wszystkich kobiet, które się przesunęły w jego życiu.

— A więc jeszcze jeden epizod w mojem życiu. Epizod bezwątpienia miły. Zaczynam być romantykiem, kpił z siebie.

Czuł jednak, że ten epizod działa na niego jakoś kojąco, jakoś ciepło, tak, jak ta cicha plaża sycylijska u stóp wzgórz leżąca.

Szedł wolno stromą ścieżką, wijącą się zakosami, gdzieś koło pustelni San Antonio, wśród wapiennych skał ociekających wodą źródlaną. Minął starą ocembrowaną kamieniami studnię, mijały go dwukołowe wózki i dzieci jadące na osłach, mijali go robotnicy, pracujący na drodze, czy też spieszący z winnicy.

Padały życzliwe wesołe pozdrowienia „buono giorno". Wszyscy tu na Sycylji traktują przybysza poufale, życzliwie i gościnnie. Taki już tu naród.



*Tak oto bawią się dzieci miljonerów amerykańskich, łącząc przyjemne z pożytecznem, gdyż zamiast w dusznym pokoju, grają w „Damkę“ na świeżem powietrzu.*

Minął plac Garibaldiego, a przeszedłszy ulicę Nadworną i Wiejską znalazł się przed hotelem, w którym mieszkał. Przystanął chwilę i rozglądnął się wokoło. Ulice były puste. Przez chwilę chciał jeszcze wrócić na skąpane słońcem wybrzeże i popatrzeć na ślady jej stóp pozostawione na piasku. Opanował się jednak. Szybkim krokiem przeszedł przez hall hotelowy i podążył do swego pokoju. Panował tu przyjemny chłód. Okna zacieniały przewiewne żaluzje. Rozebrał się i dosłownie rzucił się na stojącą w kącie pokoju kanapę.

Czuł jakieś zmęczenie. Zmęczyło go to wiośniane sycylijskie słońce. Był człowiekiem północy, reagował dość silnie na ciepło.

Napróżno usiłował skoncentrować myśli. Mimowoli powracał do poszczególnych fragmentów spotkania się z piękną nieznajomą. Raz widział ją na tle ciemnego błękitu sycylijskiego nieba, raz drugi jako piękną, niebieską plamę na tle złotego piasku. Potem widział ją jeszcze jak przez mgłę, niknącą w drzwiach małego domku, skrytego w ciemnej zieleni drzew.

Zasnął. Śniła mu się. Pochylona nad przepaścią, zalękniona, drżąca, wołała do niego o pomoc. Stał nad głębokim, szerokim i rwącym potokiem, nie mogąc go przeskoczyć ani przepłynąć, ani przebyć wbród. Stał i patrzył z bezradną rozpaczą, jak zachwiała się i spadła wdół.

Zerwał się. W uszach brzmiał mu jeszcze jej krzyk. Błędnemi, nieprzytomnemi oczyma rozejrzał się po pokoju.

— Bogu dzięki. To tylko sen — wyszeptał z ulgą. Jestem chory. Nerwy mam roztrzęsione. Reaguję zbyt silnie na każdą podnietę. Zdaje się, że tym razem wzięło mnie na dobre. Za dużo myślę o niej. Trzeba się rozerwać.

Przebrał się i zeszedł na dół do restauracji. Obszerna sala była prawie pusta, kilka osób zaledwie siedziało przy stolikach.

Posilił się, przejrzał gazety przy czarnej kawie i wyszedł na miasto.

— Kuchnia jest stanowczo słabą stroną Sycylji — perorował, idąc powoli skąpanemi w słońcu ulicami.

Ryby, oliwa, makaron, owoce, to zbyt monotonne jedzenie. Nawet wino jest tu gorsze od tego, jakie podają w innych miejscowościach. Trudno, lepsze wywożą zagranicę.

Błąkał się bez celu po pustych, rozpalonych od słonecznego żaru ulicach. Ani się spostrzegł, kiedy znalazł się na drodze wiodącej koło San Antonio nad brzeg. Jakaś podświadoma nadzieja kierowała jego krokami. Spodziewał się, iż spotka gdzieś piękną nieznajomą. Stanął znowu na brzegu morza i śledził jego migocące w słońcu fale, jak gdyby w toni morskiej chciał uchwycić oczyma jakiś ślad pozostawiony przez nią. Potem ruszył jej śladami w aleję nadbrzeżną, wzdłuż której stały domy, hotele i wille, ciche, wymarłe i opuszczone. Tylko kwiaty pnące się po murach domów i ogrodzeniach, tylko kwitnące krzewy, mieniące się różnemi barwami, mówiły o życiu.

Nie spotkał jej. Zawrócił w stronę wzgórz wiodących ku Etnie.

Nie mógł się opanować. Czuł, że nie pozbędzie się myśli o pięknej kobiecie, którą dziś przypadkiem spotkał na plaży.

— Uciekłem przed ludźmi, a raczej uciekłem przed kobietami, a tymczasem chodzę jak błędny i szukam romantycznej przygody z jakąś nieznajomą, — kpił sam z siebie. Co więcej robię smutny wyraz twarzy, staję się melancholikiem i nie mogę doczekać się jutra. Żarł się własną ironją.

Ujrzał ją jeszcze tego samego wieczoru.

W jakiejś winiarni, będącej zarazem cukiernią pił cierpkie wino. Siedział przy jednym ze stolików ustawionych przed cukiernią na chodniku. Trawił go ciągle niepokój i mimo ironji i kpin z samego siebie, wracał ustawicznie myślą do niej.

Nagle ujrzał ją. Szła w towarzystwie jakiejś starszej damy w czerni. Miała na sobie niebieską, zwiewną sukienkę.

— Usiądźmy tu, usłyszał jej głos. Tu jest trochę cienia.

Roześmiana, świeża, piękna, młoda, wesoła, stanowiła rażący kontrast ze swą towarzyszką.

— Spocznijmy tu — powtórzyła po niemiecku.

Ujrzała go i uśmiechnęła się, odpowiadając skinieniem głowy na jego pozdrowienie. Patrzył na nią i żebrał oczyma o pozwolenie przyłączenia się do nich.

Skinęła lekkim ruchem głowy. W oczach jej czytał radość.

Podszedł do ich stolika. Przystanął i skłonił się głęboko.

Starsza dama zmięszała się. Była dosłownie przerażona. Bezradnie patrzyła na swoją towarzyszkę. Ale ta rozpromieniona nie zwracała uwagi na zgorszone spojrzenie damy.

— Ciociu, to ten pan, o którym ci wspominałam przy obiedzie.

Skłonił się raz jeszcze.

— Norman Dahlen, rotmistrz ułanów na urlopie.

Starsza dama odpowiedziała nieśmiałym ukłonem i z pewnem wahaniem wyciągnęła ku niemu rękę.

— My obie z Kariną bawimy również na wywczasach — odpowiedziała z bladym uśmiechem i cicho. Trochę to zawcześnie, ale tanio.

— Proszę usiąść tu przy naszym stole, odezwała się Karina.

Kazał kelnerowi przenieść swoje wino na ich stolik. Opanowało go jakieś miłe wzruszenie, czuł, że się czerwieni jak żak. Szczęśliwy był, że może patrzeć w jej oczy. Milczał. Gdzieś w głębi kawiarni grała smętnie orkiestra sycylijska. Nad miastem gorzała łuna zachodzącego słońca.

Gdzieś na wschodzie błękit nieba był już ciemnym. Zdawało mu się przez chwilę, że widzi pierwsze gwiazdy migocące na skraju nieba. Powietrze było przesycone zapachem kwiatów, zmięszanym z wilgotną wonią morza.

Ten zapadający wieczór sycylijski, ta muzyka namiętna, ten zapach kwiatów i te głębokie jak toń morska oczy dziewczyny, wszystko to rzucało na niego urok i napełniało jego duszę tęsknotą, pętając ją zarazem jakiemś oniesmieleniem.

Począł mówić. Mówił o Sycylji, o Włoszech, wspomniał o Szwajcarji, o letniskach francuskich, mówił dużo i nieskoordynowanie. Mówił, bo trzeba było mówić. Patrzył w jej oczy i wzrokiem mówił to, czego nie mogły w tej chwili wypowiedzieć usta.

Już złote gwiazdy płonęły na niebie, kiedy odprowadzał je do willi. Pożegnał je przy furtce wiodącej do ogrodu i wracał cichemi, cienistemi alejami, pełnemi zapachu jaśminów i caprifolium. Był pijany urokiem wieczoru i wspomnieniem dziewczyny.

Dnia następnego już od wczesnego rana czekał na piękną nieznajomą.

Przyszła. Widział ją zdaleka, jak pięła się zręcznie po wzgórzach, a potem

biegła ścieżką wśród skał w stronę plaży. Zrzuciła z ramion płaszcz kąpielowy i szła wolno, nurzając się w wełniste fale morza. Płynęła długo przed siebie. Młode piersi rozchylały miękko szmaragdową toń, a ręce zataczały półkoliste łuki. Patrzył na nią długo, aż poczęła mu niknąć przed oczyma. Potem sam począł płynąć za nią usiłując dogonić dziewczynę.

Zawróciła. Szerokim łukiem mijała go borykającego się z falami i pierwsza przypłynęła do brzegu.

Wyciągnęła się wygodnie na rozgrzanym, złotym piasku.

Stanął przy niej. Rozmawiali mało. — Prawie nic. Właściwie to nic o sobie nie mówili.

Było coś w niej, co nie pozwalało na stawianie pytań. Sama nie chciała mówić niczego.

Patrzył na nią oparty o skałę nadbrzeżną i myślał.

— Gdyby to była dziewczyna z ludu, czy z kół drobnomieszczańskich, to do tej pory już dawno opowiedziałaby mu całą historję swego życia. Dzieje te byłyby z wszelką pewnością pełne epizodów zrodzonych w bujnej fantazji dziewczęcej. Te epizody opowiedziałaby tylko tak, ażeby stać się bardziej interesującą. Może byłaby pieszczoną jedynaczką, albo też sierotą krzywdzoną przez okrutnych krewnych. Może...

Ale ta piękna dziewczyna leżąca tu na piasku nad brzegiem morza o migotliwych falach, ta dziewczyna nie mówiła nic o sobie. Nie wspomniała ani jednem słowem o rodzinie, o majątku, o znajomych. Nie wiedział nawet skąd tu przybyła, ani jakiej jest narodowości. Mogła być Francuzką, mogła być Niemką gdzieś z Nadrenji, mogła być gdzieś z Północy, równie dobrze, jak i z Południa.

Nie pytał o to. Bo i poco.

Była dla niego przemiłym epizodem urlopowym, była jakąś słoneczną falą, która rozjaśniała mu kilka chwil życia, była tajemniczym kwiatem, pełnym uroku i piękna.

Wróci, wróci za trzy tygodnie do stolicy do wytwornego towarzystwa, pochwyci go wir życia i wciągnie w swoją głębię. A może i wcześniej nawet opuści ten uroczy zakątek, kiedy mu się sprzykrzy cisza i monotonja i zatęskni do gwaru...

Narazie żyje piękną chwilą. W tej chwili nic go to nie obchodzi, jest mu dobrze. Odpoczywa po hulaszczem życiu oficerskiem. Nerwy miał nadto już stargane.

— Dokąd dziś pójdziemy? Zwróciła się do niego z pytaniem czwartego dnia ich znajomości. Leżała jak zwykle wyciągnięta na piasku z oczyma zmrużonemi. Siadła. Popatrzyła w stronę morza. Po chwili poczęła przesypywać poprzez palce miałki, suchy piasek.

Patrzył na nią jakoś ciepło.

— Nie wiem, nawet o tem nie pomyślałem. Narazie jest mi tu dobrze.

— Może zobaczymy ruiny starego greckiego teatru?

— Dobrze. Zgodził się na propozycję. — W tej chwili miał uczucie, że dla niej zgodziłby się na największe szaleństwo. Było mu obojętnem, gdzie pójdzie i co go po drodze czeka. Byle szedł z nią...

* *
*

Spotkali się w cieniu saraceńskich bram. Ujrzał zdaleka jej niebieską, zwiewną sukienkę i biały kapelusz.

Jakaś radość przyśpieszyła tętno jego krwi.

Spóźniła się. Nie byłaby kobietą. Już mu się zdawało ,że nie przyjdzie. Że już jej nigdy nie ujrzy. To też radość rozpromieniła jego duszę.

Biegła po krętej ścieżce i nierównych, koślawych, kamiennych schodach. Patrzył na nią i podziwiał rytm jej ruchów.

Przybiegła. Z trudem chwytała oddech. Zmęczyła się tym biegiem. Usiadła koło niego na głazie. Ujął jej drobną, aksamitną rękę i gładził pieszczotliwie. Nie cofnęła dłoni. Powoli uspokajał się jej przyśpieszony oddech, twarz okrasiły rumieńce.

Znowu kobieta... Wyjęła małą puderniczkę i przyglądając się w lusterku, szybko upudrowała twarz. Po tej ceremonji zerwała się nerwowo.

— Idziemy!

Pięli się stopniami w górę aż na przełęcz, na której między dwoma zatokami widniały strzaskane kolumny, resztki sklepionych bram, leżały gładkie, wypolerowane przez wieki kamienie i głazy. Patrzyli na ten pomnik umarłej kultury w milczącem skupieniu. Z pięknego kiedyś teatru został tylko szkielet, zostały zniszczone latami resztki. Daleko poza ruinami widać było Sycylję i jej piękne ogrody i winnice. W dali grało wszystkiemi kolorami morze, siniała Messyna i Katanja, majestatycznie rysowała się Etna, mieniąca się niebieskiemi kolorami od ciemnego granatu poprzez fjolet, aż do bladego błękitu. Cisza dostojna leżała wokoło. Cisza, jak na cmentarzu.

Karina westchnęła cicho.

Oderwał oczy od krajobrazu i spojrzał na nią. Była blada, kąciki ust były ściągnięte, jak u płaczącego dziecka. W oczach szkliły się łzy i wyglądał z nich jakiś dziwny smutek.

— Co ci jest Karino?

Uśmiechnęła się. Spłoniła się zawstydzeniem. Odpowiedziała cicho i jakgdyby z przymusem:

— Myślałam tak po swojemu. Często o tem myślę. Świat taki piękny, taki wspaniały, a tyle na nim bólu i tragedyj.

— Panią one minęły i ominą z pewnością — powiedział tkliwie.

Zasłona smutku powlekła jej twarz.

— Kto wie? A może się pan myli? A może los dla mnie ma tylko same cierpienia?

Wzdrygnęła się. Jakiś upiorny koszmar stanął przed jego oczyma. Czyżby ta piękna, pogodna, pełna życia, radująca się pięknem dziewczyna była skazana na jakieś tragiczne przeżycia?

— Proszę nie mówić takich głupstw — odpowiedział ostro i niegrzecznie. — Niech pani nie wywołuje wilka z lasu.

Dziewczyna milczała, patrząc w stronę Etny, nad którą wisiała brudna chmura dymu. Ujął jej rękę i począł studjować pilnie różowe linje jej dłoni.

— Los pani — zaczął miękko — niesie z sobą miłość i szczęście w darze. Czytam w pani dłoni same uśmiechy i pełnię radości życia. Wypowiadał to proroctwo poważnie i z przekonaniem.

Smutny i jakiś zalękniony uśmiech zawisnął na ustach dziewczęcia. Nie powiedziała ani słowa.

Tej nocy poduszka jej była mokra od łez.

Nazajutrz nie przyszła na plażę.

Chodził do południa. Napróżno przemierzał nerwowemi krokami piaszczyste wybrzeże. Koło godziny pierwszej ruszył w stronę willi w nadziei, że ją może zobaczy, że może ją gdzieś spotka przypadkiem. Napróżno.

Ujrzał ją dopiero wieczorem.

Była jakaś inna, jakaś obca, niedostępna i obojętna. Miała na sobie szary płócienny kostjum i taką samą czapeczkę. Szła drogą przez San Antonio w stronę miasta. Niosła z sobą na pocztę kilka listów. Na twarzy jej malował się smutek. Zgasł blask jej pięknych oczu.

— Czekałem cały ranek na plaży — odezwał się z wymówką.

— Miałam ból głowy — odpowiedziała krótko.

Odprowadził ją na pocztę.

— Może wstąpimy na lampkę wina — zaproponował, wskazując winiarnię osnutą pnączami roślin.

Zgodziła się biernie bez niechęci, ale i bez radosnego, tak charakterystycznego dotychczas dla niej błysku w oczach. W pustej sali usiedli przy stoliku stojącym tuż przy oknie. Mieli stąd widok na ulicę.

Siedziała dobrą chwilę pogrążona w zadumie. Nie przerywał jej milczenia.

— Źle spałam — odezwała się wreszcie. — Trapiły mnie w nocy męczące sny. Wstałam z bólem głowy.

Umówili się, że pojadą do Arcireale.

Pojechali rankiem dnia następnego po ciągiem, biorąc z sobą zapasy na drogę.

Wysiedli na małej stacyjce, spowitej pnącemi się różami i caprifolium. Szli długą aleją topolową nad brzeg morza.

Cicho tu było i pusto, jak na całej Sycylji przed sezonem. Przy drodze stały wille z zabitemi deskami oknami. Spotkali kilku rybaków i kilkoro półnagich, bosych dzieci. Ludność o tej porze pracuje w winnicach i ogrodach.

Karina dała dzieciom garść cukierków. — Podarek ten stał się przyczyną sprzeczek i bójek. Po chwili gromada dzieciarni otoczyła ich zwartem kołem, domagając się o dalsze słodycze. Karina nie miała już ani jednego cukierka.

— Dam im parę groszy — odezwała się do swego towarzysza po francusku.

— Niech pani tego nie robi. Nie odczepilibyśmy się od tych czarnych djabełków nigdy. Nic więcej nie dostaniecie. Odejść stąd! — rzucił ostro.

Dzieci rozpierzchły się momentalnie. Patrzyły jeszcze długo za oddalającą się parą.

Doszli nad brzeg małej zatoki.

— Nareszcie jesteśmy sami — odezwał się patrząc na towarzyszkę. Siadł na obszernym głazie. Karina zatrzymała się kilka kroków od niego tuż nad brzegiem morza, zmywającego ustawicznie piasek. (Ciąg dalszy w nast. numerze.)

# Kraina szczerości i naszych trosk

**Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu**

## Dobre rady p. Zofji

### JESIEŃ ŻYCIA...

*P. M. Mszczyckiej.*

Daleko jeszcze od Ciebie jesień życia —
A już marzeń pajęczynę wiatr szarpie i wkrąg wieje
I jakby liście z drzew, — otrząsa wszystkie twe nadzieje
Uśmiech — jak słońce w jesieni: w chmur ukryciu.

Myśli twe, jak jesienne mgły, wolno płyną,
Często duch deszczem tęsknoty boleśnie się rozpłacze —
Życie dało tylko bóle, zawody i rozpacze...
Potoczyło Ci się cierpień koleiną.

Daleko jeszcze od ciebie jesień życia —
A już widać pustkę, żałość zamierania...
Owoce życia sprzątnięte, wnet koniec plonowania.
Co — prócz śmierci — może jeszcze wyjść z ukrycia?

*Danuta Wyrybkowska.*

### APEL DO „NIEZNANEGO"

*„Ryśka D."* Kochanie, to nieładnie być egoistką i chcieć koniecznie otrzymywać zaraz odpowiedzi na liściki. Musisz pamiętać o tem, „Rysiu", że nie tylko Ty czekasz tak długo na odpowiedź, ale i tyle, tyle innych Sympatyków. Prawda, że się poprawisz i będziesz już teraz cierpliwą?

Ostatni Twój liścik podobał mi się bardzo a zwłaszcza zaciekawił mnie pod koniec, gdzie opisujesz o osobistem wręczeniu czerwonych róż generałowi Rydzowi-Śmigłemu. Szkoda, że nie mogłam zobaczyć tego pięknego (zapewnie!) momentu.

A teraz apeluję do „Nieznanego", aby zechciał skreślić parę słów do „Ryśki D." bardzo miłej i wesołej osóbki, która potrafi pisać ładne i rozbrajające młodzieńczą beztroską liściki. Czy dobrze?

### UWAGA, „SAMOTNA KONWALJO"!

*„Akri"* bardzo pogodna osóbka, która odniedawna gości w „Krainie" pyta, czy „Samotna Konwalja" nie skreśliłaby do Niej kilku słów. Równocześnie przesyła siostrzany uścisk dłoni: „Pieszczotce" — „Ikarowi II" i „Fakirowi", oraz łączy pozdrowienia dla wszystkich członków naszej „Rodzinki".

### LIST Z MALEŃKIEJ, CICHUTKIEJ WIOSKI

*„Samotne Dzidzi"* bardzo kocha „Moje Powieści" i interesuje się „Krainą szczerości". Posłuchajmy co pisze w swym liściku:

„Szanowna Pani Zofjo! Już od dawna jestem czytelniczką tej przepięknej gazetki: „Moje Powieści". Interesuje mnie w nich każdy szczególik, a wprost zachwyca kącik „Krainy szczerości i naszych trosk". Dzisiaj odwaga wzięła górę nad nieśmiałością, bo i ja pragnę się do niego wkraść, gdyż z „Krainy" tchnie prawdziwa szczerość i jedność, jakby w najgorecej się kochającej rodzinie. Może Pani Zofja zechce zaapelować w mem imieniu do Czytelniczek i Czytelników, aby i do mnie kilka słówek skreślili. Jestem wysoką, szczupłą szatynką. Mówią wszyscy, że jestem miła i zgrabną. Mam dobre serduszko i obecnie szukam bratniej duszyczki, z którą mogłabym dzielić troski i zmartwienia, chwile szczęścia i wesela. Chociaż tych ostatnich tak w życiu mało! Żyję zdala od mych Rodziców, których bardzo kocham, w maleńkiej, cichutkiej, zniemczonej wiosce Pomorza. Pracuję w biurze i od pewnego czasu odczuwam brak życzliwej duszy. Siedzę w swoich „apartamentach", jak ptaszek w klatce, tak, że możnaby w całej pełni zastosować do mnie słowa piosenki:

*„Siedzi w klateczce więziona ptaszyna,*
*że była wolną sobie przypomina"...*

Z bijącem sercem czekam na rezultat mego apelu".

Droga „Dzidziu"! Liścik Twój jest tak miły, że pod jego wpływem napewno niejeden i niejedna odezwie się do ciebie, chcąc nawiązać stały kontakt z tym „ukrytym w zapadłej wiosce ptaku, marzącym o wolności".

### POINFORMUJE WUJEK JANUSZ

*„Księżniczka Dari"*. „Filozofja" Pani nie znudziła mnie wcale, przeciwnie przypadła mi do gustu. Spostrzeżenia Pani są w niektórych wypadkach bardzo słuszne. Dobry z Pani psycholog!

O wierszykach poinformuję Panią najlepiej Wujek Janusz, proszę więc się do niego zwrócić w tej sprawie.

A teraz zamieszczam wyjątek z listu Pani: „Odwzajemniam pozdrowienia przysłane mi przez „Wesołą Wandulkę" i „Nemezis". Ostatnią proszę o skreślenie do mnie kilku słów, gdyż pierwsza nie mam odwagi do Niej napisać. Odpowiedź pewna!

Jeżeli „Gwidonowi" i „Młodemu Technikowi" zależy na korespondencji i wymianie zdań na wszystkie tematy, proszę napisać do mnie, gdyż sama chętnie prowadzę korespondencję, bo lubię pisać i w ten sposób rozpraszać smutne nastroje.

Osobne pozdrowienia łączę dla „Lilli Wenedy" i wszystkich Sympatyków „Krainy".

### ZAJĘŁOBY ZBYT WIELE MIEJSCA

*„Błękitny Rycerz"*. Drogi Panie! jak najserdeczniej dziękuję w imieniu Sympatyków za załączone do listu pozdrowienia, jednakże nie wymieniam podanych pseudonimów, gdyż zająłoby to zbyt wiele miejsca, no i dałoby początek do częstszych podobnych „litanji". Myślę, że nie będzie Pan miał o to do mnie żalu, zwłaszcza, gdy rozważy sobie, że każda odrobina miejsca w „Krainie" jest bardzo cenna, gdyż całe stosy listów już od dłuższego czasu czekają na odpowiedzi?

Z nadesłanych wierszy podoba mi się: „Nad Morskiem Okiem". Proszę, niech mi Pan doniesie, czy wierszyk ten nie jest naśladownictwem. Jeżeli będzie samodzielnym utworem Pana, zamieszczę go w następnym numerze.

### CZY WYSTARCZY?

*„Roztańczona — rozśpiewana Pomorzanka"*. Kochana Dziewczynko! Każdy Twój liścik powitam zawsze z radością i zadowoleniem. Czy Ci to wystarczy, aby pisać do mnie bez wszelkich skrupułów? Myślę, że tak! Proszę również o przysłanie mi, choć maleńkiej fotografji, gdyż bardzo chciałabym zobaczyć te wesołą, roztańczoną i rozśpiewaną osóbkę.

Bardzo chętnie spełniam Twoje Kochana „Pomorzanko" życzenie i przesyłam załączone przez Ciebie w liściku pozdrowienia: „Heluńce F." i „Złotemu Jabłku", którym szczególnie się zainteresowałaś i od którego z wielką radością odebrałabyś list.

Za uściski bardzo dziękuję w imieniu Wujka Janusza i swojem. Czekam na nowe wiadomości.

### SŁOWA WSPÓŁCZUCIA I POCIECHY

*„Smutna Kazienka"*. Nie, Droga Pani, nie znudziłam się odczytywaniem długiego listu, lecz przeciwnie szczerze zainteresowałam się wiadomościami w nim zawartemi.

Smutek Pani i przykry zawód rozumiem bardzo dobrze i chociaż z oddali przesyłam Pani słowa współczucia i pociechy. Proszę, niech się Pani nie oddaje takiej bezgranicznej rozpaczy, lecz stara się nad sobą zapanować. A przedewszystkiem radzę Pani zapomnieć o tym, który złamał słowa przysięgi i podeptał szczere uczucia. Nie Panią pierwszą zawód podobny spotyka, tyle już ludzi przeżyło i różnie go przyjmowało: jedni załamywali się, drudzy kosztem bólu i nakładem silnej woli zwyciężali. Myślę, że Pani będzie zaliczała się właśnie do tych drugich. Zobaczy Pani, jak kiedyś w przyszłości będzie słodko pomyśleć, że umiało się szlachetnie cierpieć i silną wolą wywalczyć sobie na nowo spokój życia i równowagę.

Słowa uznania za ładne wierszyki dla: „Białej Uajali" — „Ord — Oma" — „Białego Murzyna" i „Kaliny" — przesyłam bardzo chętnie i czekam na list, w którym doniesie mi Pani szczerze o nowem ustosunkowaniu się do swego położenia.

### PÓJDZIEMY TAM...

Pójdziemy tam — gdzie słońce wieczorem
lśni krwawą zorzą nad uśpionym borem,
gdzie w swym przepięknym, złotym zachodzie,
falę rubinów kładzie wkrąg na wodzie.

Pojdziemy tam — skąd cisza stęskniona
wyciąga ku nam pieściwe ramiona.
W kraj pełen szczęścia zaczarowany,
dla nas stworzony, przez nas kochany.

Pójdziemy tam — tą łąką zieloną,
w dal mgły błękitnej... w cichą dal uśpioną.
Pójdziemy tam — nad brzegiem strumienia,
gdzie złote motyle płyną wśród kwiatów,
gdzie nas wołają, jak gdyby z zaświatów —
jakieś głębokie... i tęskne westchnienia. —

*„GIAUR"*

### PROSZĘ DO MNIE PISAĆ SZCZERZE I OTWARCIE

*„Fleur."* Dziękuję Panu za pozdrowienia. Miło mi było odczytać te kilka słów Pana, temwięcej, że pisała je życzliwa ręka.

Zastanowiły mnie tylko niektóre zdania w liście Pana. Pod słowami: „dziś chociaż cierpienia moje nie są skończone i wobec praw natury istnienie moje już niedługie, to jednak nie zrażam się, ale wesoło „staję" wobec wieczności" — można rozumieć tylko jeden smutny fakt, o którym mówić dzisiaj nie będę, gdyż nie jestem jednak pewną swych przypuszczeń. Myślę, że w następnym liście obdarzy mnie Pan całkowitem zaufaniem i napisze w liście mniej zagadkowo o sobie, a za to więcej otwarcie i szczerze. Proszę o to bardzo!

### WIADOMOŚCI ZAINTERESOWAŁY MNIE BARDZO

*„Dzika Cyganka"*. Kochany „Chłopczyku"! Ślicznie Ci dziękuję za fotografję. Poprostu trudno uwierzyć, że osóbka na zdjęciu to panienka. Zapewnie wszystkiemu winna ta chłopięca fryzura i trochę filuterny wyraz twarzy. Chciałabym Cię bardzo, Kochanie, zobaczyć w rzeczywistości, bo musisz być miłem i wesołem stworzeniem, no i trochę łobuzem. Czy mylę się bardzo? Wiadomości zawarte w liściku zaciekawiły mnie ogromnie, zachowam je jednak dla siebie. Podaję tylko, załączone przez Ciebie słowa dla „Tamary":

„Ucieszyłam się i bardzo dziękuję Ci, Kochana „Tamaro", za przesłane dla mnie pozdrowienia przez Braciszka. Żałowałam tylko, że tak prędko odjechał. Odwzajemniając się, przesyłam Ci, „Tamaro", serdeczne pozdrowienia i całusy".

### POZDROWIENIA

*„Smutna Indjanka"* przesyła pozdrowienia i uściski dłoni dla: „Tamary" i „Serca Stepów".

### APEL Z PROWINCJI

*„Largo"*. Za apele w „Krainie" nie pobieramy żadnych opłat. „Kraina" jest to kącik towarzyski, poświęcony Czytelnikom „Moich Powieści", którzy zwracają się do mnie w swoich smutkach i kłopotach prosząc o radę, względnie nawiązują za mojem i „Krainy" pośrednictwem między sobą korespondencję.

Po przeczytaniu przez Sympatyczki listu Pana, który niżej przedrukowuję, pewna jestem, że liściki dla „Largo" prędko wpłyną.

„Chciałbym drogą „Krainy" nawiązać korespondencję z miłą Panią, któraby naprawdę lubiła korespondować. Jestem na stałej państwowej posadzie i pracy mam dość, ale chętnie poświęcę trochę czasu na pisanie listów. Na zakończenie mego apelu proszę zgromadzone w „Krainie" „Siostrzyczki", aby nie zapominały o swych „braciszkach", którzy są zmuszeni prowadzić monotonne życie na dalekiej prowincji."

### WYSŁAŁAM!

*„Dzinka"*. „Przestraszył" mnie trochę ten „wagon uścisków", ale i wzruszył. Dziękuję bardzo!

List wysłałam, tak jak sobie p. „Dzinka" życzyła, myślę, że jest zadowolona? Proszę przyjąć ode mnie również dużo szczerych pozdrowień.

### WRZOSY

Pod lasem, w słońca promieniach złotych
Rozkwitły cudnie liljowe wrzosy,
I codzień swoje bogate sploty
W kryształach kąpią porannej rosy.

„Babie lato" swem srebrnem przędziwem
Haftuje pilnie wkrąg wrzosowisko
I zdala szepce, że coś odeszło,
Coś pogodnego, a smutek... blisko.

Rozkwitły wrzosy na lasu skraju,
Wrzosy w kolorach: lila, błękitu
I o jesieni nam smętnie bają
Wśród barw ostatnich, złudnych dosytu.

*„Kalina".*

### „TYLKO NAM JEST SMUTNO"...

*„Ramzes" i „Natan".* Pełen dowcipu i humoru list Panów przeczytałam z prawdziwą radością. Rozbrojona jestem najzupełniej, to też taką drobnostkę, jak przyjęcie do „Krainy" załatwiam jak najprzychylniej. Przyjmuję Panów, a oprócz tego oddaję część listu do druku, gdyż to wystarczy za specjalny mój apel:

„Mieszkamy na wsi i pracujemy, jako urzędnicy. Okolice tutaj są wprost cudne. Blisko morze, nad które często wyjeżdżamy, ale zawsze służbowo. Wszystko tu rwie się do życia i cieszy, tylko nam jest prawie zawsze smutno, odczuwamy bardzo głód odpowiedniego towarzystwa. Chętnie nawiązalibyśmy skimś korespondencję, bo lubimy szalenie pisać listy. Może więc znalazłaby się któraś pani o czułem serduszku, smętna, złota blondynka, która skreśliłaby kilka słów do „Natana" lub — żywa, pełna humoru brunetka odezwałaby się do „Ramzesa"? Nasz rysopis następujący: „Natan" to średniego wzrostu szatyn, poważny, o typowym, słowiańskim charakterze, kochający pola, lasy i wszystko co dobre i piękne. Chętnie jeździ konno i lubi słuchać śpiewu.

„Ramzes" jest wesołym o szczerem usposobieniu blondynem, lubiącym swobodę i w wolnych chwilach grywać na gitarze.

Obydwoje zgadzamy się doskonale i byłoby nam tutaj bardzo dobrze, gdyby nie było tak pusto i głucho".

### PRZYPUSZCZENIA BŁĘDNE

*„Dumny Lew."* Cieszę się bardzo, że apel w „Krainie" przyniósł pełen skutek i obecnie prowadzi Pan już interesującą i miłą korespondencję z Sympatykami.

A teraz donoszę, że przypuszczenia Pana są błędne, oczywiście jeżeli chodzi o incognito p. Zofji. Musi Pan jeszcze trochę pobiedzić się nad tą zagadką. Za pozdrowienia dziękuję serdecznie w imieniu całej Redakcji i swojem. Nadesłane wierszyki bardzo słabe. Pozdrowienia załączone dla: „Wesołej Zosi" — „Cyganeczki" — „Nemezis" — „Mimozy" — „Alraune" — „Gwidona" — „Białej Uajali" — „Kaliny" — Jadźki z Kujaw — „Ord-Oma" i „Białego Murzyna" — przekazuję.

W wolnej chwili, proszę, niech Pan znowu skreśli do mnie kilka słów. Serdecznie pozdrawiam.

### PAMIĘTAM DOSKONALE!

*„Marzyciel z pod Kościana".* „Nie wiem, czy Pani pamięta „Marzyciela z pod Kościana" — temi słowami rozpoczyna Pan swój pogodny i miły liścik. Nietylko sobie przypominam, ale nawet doskonale zapamiętałam charakter pisma Pana, do tego stopnia, że gdy zobaczyłam leżący na stole redakcyjnym list Pana leżący wśród wielu innych, odrazu poznałam, że to od „Marzyciela z pod Kościana". Czy teraz będzie Pan jeszcze wątpił o mej pamięci?

Z ostatniego listu Pana tchnie wielka pogoda, a zwłaszcza z opisu o żniwach. Podziwiam, jak Wy tam na wsi jesteście szczęśliwi i nawet wśród ciężkiej pracy potraficie się uśmiechać i z pogodną piosnką na ustach wracać wieczorem z pola, choć ręce i barki tak spracowane. Czytając takie słowa, jak Pana, mimowoli nabiera się jakieś szerszego oddechu i większej siły do pracy.

Kończę jednak już odpowiedź i przesyłam z polecenia Pana pozdrowienia: „Marzycielce z pod Kościana" — „Iksuni z Grudziądza" i „Augustowiance".



### KTO NAPISZE DO „SYLWANETTE"

*„Sylwanette"* przesyła milutki pa! całej naszej „Rodzince", a osobne pozdrowienia: „Tabu" — „Białej Uajali" — „Księżniczce Dari" — „Córce Wichru" — „Mimozie" — „Dumnemu Lwu" — „Ord — Omowi" i „Hrabiemu Monte Christo", zapytując równocześnie, czy ktoś z wyżej wymienionych Sympatyków, nie zechciałby napisać parę słów do nieznajomej „siostrzyczki"?

„Sylwanette" jest młodziutką blondynką, o wrażliwem usposobieniu, odczuwającą głęboko radość i smutek. Pracuje w biurze, ale tylko do godziny 3-ciej po południu, rozporządza więc dużą ilością czasu, który częściowo chciałaby zużyć na pisywanie listów do miłych osób.

Kto więc napisze do sympatycznej „Sylwanette" i wypełni jej oraz urozmaici wolne chwile od zajęć?

## *Teczka Wujka Janusza*

### GDY POWRÓCISZ...

Może kiedyś do mnie szczęściem się rozśmieją,
Te twoje serdeczne i tak dobre słowa,
Gdy po latach wielu pójdziemy aleją...
I już słońce złote za borem się schowa.

Może właśnie wtedy sady się ukwiecą,
Drzewa się pokryją znowu kwiatów bielą...
Zorze na zachodzie znów płomień rozniecą,
Może nasze serca się w nim też spopielą.

Wszystko będzie, jak dawniej — nic się nie zmieni.
—Kiedy przyjdziesz do mnie, uściśniesz mi dłonie
I pochwycisz wzrok mój oczami swojemi,
I kornie schylisz głowę w głębokim pokłonie.

Wiem—włos twój już będzie trochę posrebrzony,
Tęskną zobaczę zadumę na twem czole.
Powiesz: znowu w stare powróciłem strony,
Wołało mnie wszystko — i sad ten i pole!...

A wtedy mi serce w piersi zakołata
I znów oczy moje szczęściem zajaśnieją,
Żeś nie zapomniał mnie przez tak długie lata,
Że jesteś ze mną i że idziem aleją.

Będziesz opowiadał tak dużo o świecie,
O przygodach w dżungli, o morskiej podróży!
Przypomnisz wichry pustynne i zamiecie
I czas trwogi, lęku — pośród morskiej burzy.

Będę słuchała i uśmiechnę się blado —
A czasem i słowo jakie ci dorzucę,
Wesoło wybuchnę śmiechu kaskadą...
Żegnając mnie, rzekniesz — jutro znów tu wrócę.

*Jadźka z Kujaw.*

### WYSTRZEGAJMY SIĘ NIEDORZECZNYCH PORÓWNAŃ!

*„Te-Em."* Wiersze Pana posiadają bardzo dobry rytm i rym, cóż, kiedy rażą zupełnie nierealnemi porównaniami. N. p. takie zdanie: „I kiedy spojrzę na ust twych kryształy..." Ust kryształy? Czyż można sobie wogóle coś podobnego wyobrazić? Oczywiście, że nie! Ładnieby wyglądała ukochana z kryształowemi ustami!...

Z powyższego widzimy, jak jedno absurdalnie wtrącone słowo, może popsuć całość wiersza. Wystrzegajmy się więc niedorzecznych porównań, piszmy zawsze jak najprościej i jak najjaśniej!.

Tak, Drogi Panie, piszmy jak najprościej! Oto moja rada! Czekam na jej rezultat i ślę Panu przyjacielski uścisk dłoni.

### PRZYJDŹ...

*Nince Zochowskiej — poświęcam.*

O przyjdź...
Królewno wymarzona moja,
Niech tęsknoty mojej żar
Ukoi
Bratnia dusza twoja.

Przyjdź...
Czekam cię już od lat
I niech twojej duszy czar
Porwie mnie skrzydlaty.

O przyjdź...
Niech nie czekam cię daremnie,
Wprowadzę cię w świat mar,
Które drzemią we mnie.

Przyjdź...
W cichy wieczór majowy
Usiądziem wśród drzew,
Zasłuchani w słowiczy śpiew...
I spadnie na nasze głowy
Biały kwiat wiśniowy.

*„Jot-Bor."*

### PROSZĘ PISAĆ PO JEDNEJ STRONIE PAPIERU

*„Jot-Bor."* Z nadesłanych wierszy wybrałem do druku następujące: „Jest mi żal...", „Odeszłaś", „Przyjdź" i „Rozwiane złudy". W innych utworach znalazłem pewne braki i niedociągnięcia, więc odesłałem je do... kosza. Przy przepisywaniu rękopisów, przeznaczonych do druku, proszę pamiętać o tem, aby pisać tylko po jednej stronie papieru.

Życzę Panu powodzenia w pracy na polu literackiem i ślę moc najserdeczniejszych pozdrowień.

### BYŁEM PRZERAŻONY

*„Harry."* Zdaje się, że będzie lepiej, gdy zabierze się Pan spowrotem do swojej dawnej, ulubionej rozrywki — szachów. Do pisania wierszy stanowczo niema Pan szczęścia. Byłem poprostu przerażony chaosem i wybujałym erotyzmem, jaki znalazłem w „utworach" Pana, które nic wspólnego nie mają z poezją. Wszystkie znalazły się w olbrzymim i niezwykle gościnnym koszu redakcyjnym.

Pyta Pan, czy może nadesłać do teczki swoje nowelki? Proszę bardzo! zobaczymy jak będzie u Pana z prozą. Zmartwiłbym się ogromnie, gdyby było podobnie, jak z poezją.

## CHWILA ZASTANOWIENIA

BILETY WIZYTOWE

| KS. Ł. TOYBAI |
|---|
| ROMAN DISZE |
| DR O. GÓNEKOW |

Gdzie zamieszkują właściciele biletów?

SZARADA

ul. Witold Mataczyński — Łysinin

Całość z czterech liter tylko się składa
Gdy trzy pierwsze z nich weźmiesz wspak — będzie dół,
Gdy na wszystkie wsiądziesz, to jedziesz bez kół,
Choć wody niema — przyjemność nielada
Zajechać do miasta, gdzie ludzi gromada.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dnia 18-go października b. r.

Rozwiązanie zadań z numeru 38 „Moich Powieści": Konikówka: *Pies szczeka tylko na nieznajomych, a człowiek oszczekuje nawet najlepszych znajomych.* Bilety wizytowe: Komisarz, redaktor, korespondent.

Trafne rozwiązanie zadań nadesłali pp.: Helena Szajner — Lublin, „Dumny Lew", Stanisław Kempiński — Ostrów (Wlkp.), Jadwiga Waścińska — Rogoźno, Ludomiła Czarnkowska — Bydgoszcz, Józefa Rojakówna — Środa, Emil Chojecki — Starogard, Władysław Kowalak — Pobiedziska.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Helenie Szajner z Lublina i Władysławowi Kowalakowi z Pobiedzisk.

# Raj kobiet

## Czy rudowłose piękności

### są istotnie niebezpieczne

Coraz bardziej modne są przeróżne ligi w Stanach Zjednoczonych, nic więc dziwnego, że założono także „Ligę przeciw rudowłosym“, której działalność polega na ostrzeganiu bliźnich przed niebezpieczeństwem, jakie im grozi z tej strony. Bo rudowłosi, a zwłaszcza rudowłose kobiety, to — zdaniem członków owej ligi — wogóle vampy itd.

Liga, jak liga. Nie jest zbyt szkodliwa przypuszczalnie. Chyba pośrednio.

Bo oto, aby się jej twierdzeniom przeciwstawić, wygłosił angielski historyk Thompson w Oksfordzie cykl odczytów. I całkiem na serjo, na podstawie licznych przykładów z historji dowodził, że ludzie rudowłosi bynajmniej złymi nie byli nigdy, ani nie są niebezpieczni, lecz owszem, przeciwnie, bardzo mili. Dla ilustracji przytoczył (słuchajcie, słuchajcie): Kleopatrę, Marję Stuart, Cezara, Napoleona i Cromwella. Pomijając już to, że rudowłosy Napoleon jakoś bardzo dziwnie przedstawia się naszej wyobraźni — trzeba przyznać, że wybór niezły i właśnie odpowiedni dla poparcia tezy....

## Jak się odbywają konkursy na najpiękniejszą fryzurę w Paryżu?

Pewien reporter paryski opisuje w ten sposób swe wrażenia w atelier Salonu Fryzur głośnego paryskiego „mistrza fryzur kobiecych“, Antoniego Cieplikowskiego, naszego rodaka, który słynie w świecie jako twórca i dyktator w dziedzinie.... najmodniejszych fryzur kobiecych.

— Wszędzie stoją martwe głowy z zastygłym z wosku uśmiechem. Jakiś sinobrody usiadł między niemi i czyta gazetę, otoczony ślicznemi, lśniącemi loczkami.

Antoine przeszedł sam siebie. W westibulu postawił trzy niesłychane modele: pod palcami jego przemieniły się włosy: w kapelusz włoski, szal hiszpański i łańcuch pociemniałego złota. Wszystko to przymocowane zapomocą szpilek wbitych jak gdyby w czaszkę. Trzeba cierpieć aby być piękną.

Jakiś pan pośpiesznie wyjaśnia mi jak to się robi.

— To oczywiście tylko na wieczór... Robi się kilka godzin proszę pana. A potem powleka się robotę cienką warstwą przezroczystej celulozy, która nadaje włosom ten piękny, drewniany wygląd.

Narzędzia „tortur piękności“ wyciągają na wszystkie strony swe groźne macki. Błyszczy aluminjum, fioletowe światła, warczą motory. Huk, jak w fabryce.

Przychodzą panie na trwałą ondulację, robioną za darmo publicznie. Zręczny ekspert dzieli włosy na małe, regularne kwadraty. Zwija się glond, lub czarne węże na sterczące łodygi i zamyka w rozgrzanych mocno klatkach. Fryzjerzy zbliżają się patrząc krytycznym okiem, dotykając czy nie zanadto gorące, przykręcają niemiłosiernie, gdy niedość ciepłe, nieszczęśliwa ofiara nic nie ma do powiedzenia.

Bliżej, panowie! Przypatrzcie się dobrze — ryczy ustawicznie jej oprawca. Kobieta śmieje się nieśmiałym nerwowym uśmiechem, uginając głowę pod wielkim elektrycznym jeżem.

Na estradzie pokrytej czerwonym aksamitem zasiadło pięćdziesiąt kobiet. To konkurs na najpiękniejszą ondulację. Pięćdziesiąt kobiet wstaje i wraz z fryzjerami opuszcza estradę, podczas gdy pięćdziesiąt następnych o włosach prostych jak Joanne d'Arc zajmuje opuszczone miejsca.

Ogłoszono wynik konkursu. Wygrywa Węgier. Orkiestra paryskich fryzjerów zaczyna grać.

## Powietrze przenosi zarazki

Najnowsze odkrycia naukowe wskazują, że powietrze jest przenosicielem zarazków chorobotwórczych i że epidemje istotnie podróżują z miejsca na miejsce drogą powietrzną.

Badania naukowe płyt pokrytych lepką klejistą masą i wystawianych na działanie powietrza na różnych wysokościach i w różnych położeniach geograficznych, wykrywają istnienie zarazków chorób oraz pylników różnych roślin i grzybkowatych zalążków, które musiały podróżować powietrzem setki a nawet tysiące mil. Niektóre z tych organizmów były nieszkodliwe, lecz wiele między niemi było takich, które powodują poważne choroby roślinne i ich obecność w powietrzu na takich odległościach i wysokościach wytłumaczą pojawianie się wielu tajemniczych epidemji roślinnych.

To samo można powiedzieć o epidemjach, którym ulegają ludzie.

## Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

### od dnia 6. X. do 12. X. 1935 r.

*Niedziela, dnia 6 października 1935 r.*

9.00 Audycja poranna 10.30 Transmisja nabożeństwa 12.15 Poranek muzyczny. W przerwie o godz. 13.00 Fragm. słuchowiskowy „Papierowy Kochanek“ 14.00 Fragm. z powieści „Krwawnik“ 14.20 Muzyka lekka 15.00 Godzina rolnika 16.00 „Kłopoty Burka z podwórka“ opowiad. dla dzieci 16.15 Recital Janiny Wysockiej—Ochlewskiej 16.35 Cała Polska śpiewa 17.00 Muzyka taneczna 17.40 Migawki regjonalne 18.00 Koncert 18.30 Teatr Wyobraźni nadaje słuchow. „Odwiedziny“ 19.26 Wiadomości sportowe lokalne 19.30 Z oper Bellini'ego (płyty) 19.45 Co czytać? 20.00 Koncert z udziałem H. Ostrowskiej (śpiew) 20.45 Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego 20.50 Dziennik wieczorny 21.00 „Wesoła lwowska Fala“ 21.30 „W świętokrzyskich kniejach“ — feljeton 21.45 Wiadomości sportowe 22.00 Muzyka taneczna.

*Poniedziałek, dnia 7 października 1935 r.*

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Koncert południowy z udziałem solistów — płyty 13.25 Chwilka dla kobiet 15.30 Zespół Niny Mańskiej 16.00 Lekcja języka niemieckiego 16.15 Zespół wokalny „Irmay“ 16.45 Ostatnia kradzież Giocondy — skecz 17.00 Słucham odczytu społecznego — pogadanka 17.15 Minuta poezji 17.20 Minjatury kwartetowe 17.50 Niewidoczni pracownicy w świecie drobnoustrojów — pogadanka 18.00 Pieśni rumuńskie 18.30 Opowiadanie dla dzieci 18.45 Płyty — muzyka lekka 19.25 Skrzynka rolnicza 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Audycja żołnierska 20.30 Staropolska muzyka w charakterystycznym układzie 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Recital fortepianowy 21.30 W stulecie śmierci Kazimierza Brodzińskiego 22.00 Koncert symfoniczny 23.05 Muzyka taneczna.

*Wtorek, dnia 8 października 1935 r.*

6.39 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla dzieci młodszych ze szkół 12.30 Koncert 13.25 Chwilka dla kobiet 13.30 Z rynku pracy 15.30 Muzyka lekka 16.00 Skrzynka P. K. O. 16.15 Koncert wiedeńskiego kwartetu Karasie 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 30-lecie teorji Einsteina — odczyt 17.15 Koncert solistów 17.50 Skrzynka językowa 18.00 Recital fortepianowy 18.30 Marja Konopnicka — szkic literacki 19.25 Wiadomości rolnicze 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Muzyka lekka i taneczna 21.00 Dziennik wieczorny 21.10 Obrazki z Polski współczesnej 21.15 Koncert symfoniczny z Poznania 22.30 Europa po zniżonej cenie — feljeton 12.45 Muzyka taneczna.

*Środa, dnia 9 października 1935 r.*

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Modne ściegi trykotażowe 12.30 Muzyka 13.25 Chwilka dla kobiet 15.30 Trio salonowe z Poznania 16.00 Rozmowa „Majster-klepki z Lepi-gliną“ — aud. dla dzieci starszych 16.20 Recital Jadwigi Majasiak-Klechniowskiej 15.45 Rozmowa muzyka ze słuchaczem radja 17.00 Dyskutujemy 17.15 Muzyka skandynawska 17.50 Świat się śmieje 18.00 Koncert solistów 18.30 Skrzynka ogólna 18.45 Audycja dla dzieci z płyt 19.25 Chłodnictwo w życiu gospodarczem Polski 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Reportaż aktualny 20.00 Muzyka lekka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Twórczość Fryderyka Chopina — audycja VI-ta 21.35 Kwiatki oratorskie 21.50 Odczyt z cyklu „Zdobycze medycyny“ 22.00 Księżniczka i włóczęga“ — opera komiczna 23.05 Muzyka taneczna 23.30 Wrażenia z podróży statkiem „Piłsudski“ do Ameryki.

*Czwartek, dnia 10 października 1935 r.*

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Poranek dla młodzieży szkół powszechnych 13.00 Koncert skrzypcowy Es-dur Mozarta (płyty) 13.25 Chwilka dla kobiet 15.30 Piosenki 15.45 Trio bałałajkowe 16.00 „Ciocia Katapulta“ — opowiadanie Starego Doktora 16.15 Utwory Jana Straussa 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Socjalizm Polski w walce o niepodległość — odczyt 17.15 Muzyka lekka (płyty) 17.50 Książka i wiedza 18.00 Recital wiolonczelowy 18.30 Film, plastyka, architektura 18.45 Muzyka lekka 19.25 Kącik dla młodzieży wiejskiej 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Muzyka lekka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 „Tempo — Tempo“ — słuchowisko 21.35 Nasze pieśni 22.00 Utwory Karola Szymanowskiego — gra E. Umińska 22.30 Muzyka taneczna.

*Piątek, dnia 11 października 1935 r.*

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja szkolna dla dzieci starszych 12.40 Koncert 13.25 Chwilka dla kobiet 13.30 Z rynku pracy 15.30 Muzyka lekka z płyt 16.00 Pogadanka dla chorych 16.15 Koncert 16.45 Chwilka pytań 17.00 Reportaż z Prus Wschodnich 17.15 Minuta poezji 17.20 Koncert solistów 17.50 Poradnik sportowy 18.00 Kwintet-Mendelssohn-Bartholdy 18.30 Pogadanka aktualna 19.25 Skrzynka rolnicza 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Monolog aktualny 20.00 Biuro studjów rozmawia ze słuchaczami P. R. 20.10 Egzotyczne nastroje — koncert 21.00 Dziennik wieczorny 21.10 Obrazki z Polski współczesnej 21.15 Koncert symfoniczny 22.30 Muzyka taneczna.

*Sobota, dnia 12 października 1935 r.*

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Koncert 13.25 Chwilka dla kobiet 14.30 Muzyka francuska z płyt 15.00 Fragment powieści p. t. „Gromnica“ 15.25 Nasz handel morski 15.30 Orkiestra mandolinistów 16.00 Lekcja języka francuskiego 16.15 Utwory skrzypcowe 16.30 Skrzynka techniczna 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Surowce jako czynnik samodzielności gospodarczej 17.15 Nowości z płyt 17.45 Swiat naszych zwierząt 17.50 „Klejnot ziemi lubawskiej — Nowe Miasto“ — pogadanka 18.00 Wesoła audycja dla dzieci 18.30 Przegląd wydawnictw 18.40 Pogadanka społeczna 18.45 Koncert solistów z płyt 19.25 Wiadomości rolnicze 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Audycja ku czci Marsz. Józefa Piłsudskiego 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Zadania kobiet polskich zagranicą 21.30 Humor regjonalny 22.00 „Jesienią...“ — koncert 23.05 Muzyka taneczna.

# Ze świata

## Fenomenalny dzieciak

„Daily Herald“ rozpisuje się bardzo szeroko o siedmioletnim angliku, Leonie Bissonie, który jest w swoim rodzaju genjuszem matematycznym. Maleńki Leon pochodzi z wioski Midlsechs. Od dwóch lat uczęszcza do miejscowej szkółki wiejskiej, obecnie jednak uważany jest za „wyrocznię“ przez swoich nauczycieli, a to z powodu niewiarogodnych wprost zdolności matematycznych, które pozwalają mu przeprowadzać dowolne kombinacje arytmetyczne z największemi nawet t. zw. astronomicznemi liczbami, bez uciekania się do pomocy pióra i papieru.

— Ile będzie 354.489.612.896 pomnożone przez 9?

Na podobne pytanie nieodrazu odpowie i dorosły.

Jednak Leon Bisson przemnaża to w myśli i daje dobrą odpowiedź w ciągu ośmiu minut: 3.190.406.516.064.

Te jego zdolności matematyczne nie posiadają swego odbicia w podobnych zdolnościach jego rodziny. Ojciec Bissona zajmuje się reperowaniem instrumentów muzycznych, matka zaś — zajęta wyłącznie gospodarstwem domowem, wszystkie rozchody domowe oblicza z pomocą pióra i papieru. Leon Bisson nie uważa swoich zdolności za wyraz sił nadprzyrodzonych. Technikę obliczeń swoich tłumaczy w ten sposób: — „Najpierw podliczam pierwsze pięć cyfr i zapominam o nich, następnie liczę i zapominam następną piątkę i tak dalej...“

Pamięć chłopca można uważać za fenomenalną. Daje on bowiem nietylko dobre odpowiedzi na wszystkie zadawane mu zadania matematyczne z najwyższemi cyframi, ale umie również je „czytać od końca tj. dawać odpowiedzi, poczynając od cyfry końcowej.

## CZY WIECIE, ŻE...

Czechosłowacki Związek Elektrotechniczny zorganizował kursy fachowe celem przeszkolenia sprzedawców aparatów i części radjowych.

x x

Radjofonja Italska zorganizowała ciekawy konkurs: każdy kto kupił w sierpniu aparat radjowy winien zgłosić się z oryginalnym rachunkiem do radja, gdzie otrzyma los upoważniający do wygrania jednej z trzynastu premji, wśród których największe są nagrody pieniężne w wysokości 6.000, 3,500 i 2.000 lirów.

# Wśród warjatów

## Upiór zamku Sokolskich

### (Romans)

56)

*Nowym Czytelnikom „Moich Powieści" dajemy dziś streszczenie dotychczasowych odcinków niezwykle interesującego sensacyjnego romansu „Wśród Warjatów."*

Młody i piękny hrabia Zygmunt Sokolski zapałał wielkiem uczuciem dla pięknej, biednej i bardzo szlachetnej dziewczyny Almy Tarczyńskiej. Miłość dwojga młodych ludzi potężnieje z dnia na dzień. W końcu hrabia dowiedziawszy się, że Alma zostaje matką jego dziecka, postanawia się z nią ożenić. Kilka dni przed ślubem pełne harmonji szczęście dwojga kochanków zostaje zburzone wskutek intrygi pięknej i dumnej Arabelli de la Roche, zakochanej do szaleństwa w młodym Sokolskim. Hrabia dotknięty, wyrzeka się Almy i zwraca swe afekty w stronę Arabelli, a nieszczęsna Alma w przystępie bezgranicznej rozpaczy udaje się na zamek, aby hrabiego przekonać o swej niewinności. W drodze jednakże zwabia ją podstępem Arabella do swego powozu i odwozi do zakładu obłąkanych, którego dyrektorem jest tajemniczy doktór Morizano. Zamknięta w pustej, posępnej celi, biedna Alma odchodzi rzeczywiście od zmysłów, żyjąc tylko myślą o swym ukochanym Zygmuncie. W międzyczasie przychodzi na świat córeczka, której daje imię Anielka. Młoda matka kocha ogromnie małą istotkę i już odtąd żyje tylko dla niej. Po pewnym czasie poznaje przyjaźnie do niej usposobionego starca Dubois, który przebywa jakiś czas w obrębie zakładu. Ten, poznawszy się na krzywdzie Almy, postanawia ją uwolnić i planuje ucieczkę, która się jednak nie udaje całkowicie. W chwili bowiem przedostawania się Almy przez mur, spostrzega ją straż więzienna, chwyta i zamyka spowrotem w ponurej celi. Po drugiej stronie muru został Dubois z Anielcią. Alma po stracie córeczki popada naprawdę w obłęd.

Od tego czasu mija 16 lat. W wspaniałym zamku Sokolskich odbywają się urodziny pięknej żony hrabiego Arabelli. W dniu tym odkrywa hrabia ,że żona go zdradza z księciem rosyjskim Slatkowem. Po bardzo przykrej scenie Arabella opuszcza na zawsze zamek, a mąż jej poznaje smutną prawdę, że Alma Tarczyńska jest zupełnie niewinną, a posądził ją niesłusznie tylko pod wpływem intryg Arabelli. Pełen żalu, postanawia hrabia odnaleźć Almę i wynagrodzić jej krzywdę.

Tymczasem w Paryżu umiera stary Dubois, który wraz z Anielcią tutaj przybył z zakładu doktora Morizano i wychował ją tutaj na śliczną panienkę. Po jego śmierci Anielcia jedzie do zakładu, aby odszukać swoją matkę. W pobliżu domu obłąkanych pyta się o drogę jakiegoś jeźdźca, który okazuje się hrabią Kazimierzem Zamskim i który zostaje oczarowany pięknością i wdziękiem ślicznej panienki.

W czasie, kiedy Anielcia przybywa do zakładu, przebywa w nim Arabella pałająca chęcią zemsty do hrabiego Sokolskiego. Na wiadomość, że Anielcia jest córką Almy, postanawia przedstawić się jej jako matka, a potem za jej pośrednictwem zdobyć bogactwa Sokolskich. Anielcia jednak nie uznaje jej i odrzuca ją. Rozwścieczona Arabella namawia doktora Morizano, aby zamknął dziewczęką w celi, co tenże wypełnia.

Za bramą zakładu czeka daremnie Kazimierz Zamski za śliczną dziewczęką, wreszcie usłyszawszy krzyki Anielci, kiedy ją zamykali do celi, robi alarm. Biorą go za obłąkanego i również zamykają w zakładzie.

W tym samym dniu poznaje hrabia Zygmunt Sokolski biedną córkę generała Elzę Roden. Przyrzeka pomóc jej materjalnie. W kilka chwil zaś później wpada na trop obłąkanej Almy. Udaje się do domu obłąkanych, gdzie poznaje swoją ukochaną w siwej, wycieńczonej kobiecie. Sprowadza ją na zamek i jako pielęgniarkę i opiekunkę jej bierze Elzę Rodeń, a następnie w wszystkich dziennikach świata podaje artykuły, w których poszukuje swej zaginionej córeczki.

A podstępna Arabella czuwa. Wyczytawszy jeden z takich anonsów, podsuwa hrabiemu swoją córkę Lolę, dziecko występku, a którą ten przyjmuje jako prawdziwą swą córkę.

W krótkim czasie do zamku zgłasza się nowy woźnica Alfred Robber, który jest kochankiem rzekomej córki hrabiego Sokolskiego — Loli. Podstępna para knuje po kątach ,jak zdobyć rozliczne bogactwa hrabiego. Pewnego dnia Elza Roden napotkała kochanków na czułej scenie. Z obawy, aby ich nie zdradziła, Alfred Robber postanawia ją usunąć — zamordować. W odpowiedniej chwili, gdy Elza Roden znajdowała się po za obrębem zamku, rzucił się na nią ofiarę i wbił jej sztylet w piersi. Kiedy się zbiegła zamkowa służba do leżącej bez przytomności Loli, zauważono pochylonego nad nią hrabiego Kazimierza Zamskiego, który w międzyczasie zdołał się uwolnić z „więzienia" doktora Morizano i wracając natchnął się na leżącą Elze Roden. Podejrzenia skierowały się wszystkie przeciw niemu i to do tego stopnia, że Kazimierz zostaje uwięziony za chęć zabójstwa. Po pewnym czasie jednak niewinność jego wychodzi na jaw, a niecna sprawa Alfreda Robbera zostaje wykrytą. Łotr jednakże zdołał w porę zbiedz.

W przebywającym na wolności pięknym i szlachetnym hrabim Kazimierzu zakochuje się bezpamiętnie Lola, podczas, gdy ten stale myśli o słodkiej prześlicznej Anielci, która podczas jego pobytu w więzieniu przepada bez śladu z zakładu obłąkanych. Wszelkie poszukiwania jego za nią są daremne.

Co się więc stało z Anielcią?... Od paru lat posługaczką w zakładzie doktora Morizano była stara Gilowa, szczerze nienawidząca doktora. W przystępie nienawiści postanowiła uwolnić Anielcię, temwięcej, że uroda dzieweczki, jak uplanowała, miała jej przynosić pewne korzyści. Ucieczka udała się pomyślnie i Anielcia znalazła się na wolności. Pewnego dnia w domu Gilowej znalazł się książę Borys Slatkow, który olśniony pięknością dziewczyny zabiera ją do swojego zamku, znajdującego się w dalekiej Syberji. Anielcia odbywa długą pełną trudów podróż i wreszcie staje w bogatej, pełnej przepychu rezydencji księcia. W noc, kiedy Slatkow postanowił zdobyć Anielcię, syn jego, bardzo szlachetny młodzieniec, ułatwia dzieweczce ucieczkę.

Po nieopisanych trudach, przygodach i uciążliwościach, Anielcia przybywa do Paryża i tutaj pracuje w salonie mód, jako zwykła modystka.

Wielką w tym czasie sensacją Paryża jest piękna hrabianka, narzeczona hrabiego Kazimierza Zamskiego. Pewnego razu podczas pobytu w salonie mód p. Duprez, hrabianka poznała Anielcię i przyjęła ją jako swoją pannę gardero bianę. Dopiero w dzień ślubu Loli Sokolskiej dowiedziała się Anielcia całej smutnej prawdy i w narzeczonym hrabianki rozpoznała swego ukochanego. Z myślą, że złamał daną jej w zakładzie doktora Morizano przysięgę wierności, opuściła pałac Sokolskich z zamiarem pozbawienia się życia, nie wiedząc, że cała sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej. Hrabia Zygmunt Sokolski i ojciec Kazimierza byli serdecznymi przyjaciółmi i marzeniem ich było połączyć swoje dzieci. Na łożu śmierci ojciec Kazimierza wymógł na nim przysięgę, że zostanie mężem Loli. Kazimierz myśląc, że Anielcia już nie żyje i nie chcąc ojcu utrudniać ostatnich chwil życia dał swoje słowo, chociaż Loli nie kochał. W dniu swego ślubu, zobaczywszy po wyjściu z kościoła Notre — Dame słodką twarzyczkę Anielci, która mu za chwilę znikła, poczuł się nanowo nieszczęśliwy. Znalazł się w sytuacji bez wyjścia, mimo to nie zapomniał o ukochanej i poszukiwał jej wytrwale. Znalazł ją wreszcie... ale nieżywą. Wydobyto ją z wód Sekwany, gdzie pragnęła znaleźć zapomnienie o swym przykrym zawodzie. Pełen rozpaczy Kazimierz pragnął mieć jako pamiątkę po Anielci, chociaż tylko jej serce, w tym więc celu udał się z zwłokami doktora Halera, aby mu je wyjął. W czasie operacji, Anielcia ożyła, była bowiem pogrążona tylko w letargu. Doktór zachwycony, jak wszyscy urodą dziewczęcia, postanowił się nim zająć i powierzył jej pieczy swej staruszki — matki, sam zaś dał hrabiemu serce, wyjęte z trupa innej kobiety.

Anielcia w domu doktora Halera znalazła spokój i zadowolenie. Harmonja ta jednak została naruszona, gdy młody lekarz oświadczył się dziewczynie, pragnąc pojąć ją za żonę. Anielcia, ani na chwilę nie zapomniała o Kazimierzu i uczuciu swemu postanowiła pozostać na zawsze wierną. Odmówiła więc doktorowi. Ten jednakże nie tracił nadziei, wierząc w decyzję Anielci. Wkrótce wyjechał do zamku hrabiego Sokolskiego, celem leczenia obłąkanej Almy, zabierając z sobą portret Anielci. Obłąkana Alma ,która nie chciała Loli uznać za córkę, zobaczywszy portret Anielci, zaczyna przytomniej patrzeć i darzyć śliczną panienkę z portretu specjalną sympatją — poznaje w niej swoją córkę. Doktór Haler odwiedza również dyrektora domu obłąkanych Morizano, który w Halerze rozpoznaje swego syna, którego jeszcze w dzieciństwie dla ciemnych i brudnych spraw pozostawił bez ojcowskiej opieki, zdając ją całkowicie na ramiona swej żony. Doktór Morizano, przekonany, że syn przybył do Polski w celu wyzyskiwania go, postanawia mu szkodzić. Korzysta z pierwszej lepszej okazji i kiedy doktór Haler wysyła lokaja, aby nadał telegram do jego matki, by przybyła do zamku Sokolskich wraz z Anielcią, Morizano tak zręcznie sprawę kartuje, że wyręcza lokaja i zmienia treść telegramu na wiadomość, że doktór Haler zmarł. Słowa te zabiły matkę Halera. Na wiadomość o nagłej śmierci syna, dostaje udaru serca. Anielcia samotna znowu opuszcza mieszkanie doktora, prosząc o zajęcie się pogrzebem staruszki, znajdującego się w Paryżu hrabiego Zygmunta Sokolskiego, a sama udaje się w gwarne ulice Paryża wywalczyć sobie nowy byt.

A teraz powróćmy do pary małżonków hrabianki Loli i Zygmunta. Otóż od chwili ślubu, gdy się młody hrabia dowiedział, że jego słodka Anielcia żyje, odseparował się najzupełniej od swej pięknej żony, ku jej wielkiej rozpaczy. Żyje samotny w marzeniach o swym ideale, a Lola szuka ukojenia w smutku w pięknych strojach i codziennie zwiedza najelegantsze salony mód i składy jubilerskie..

Podczas jednej z takich wypraw spotyka Alfreda Robbera, swego dawnego kochanka, i z nim spędza wieczór w podejrzanej kawiarni. Dnia tego po powrocie do domu mąż jej Kazimierz pod wpływem hrabiego Zygmunta i słów jego wypowiedzianych na niekorzyść Anielci, daje się przekonać, że jego ukochana była tylko szantażystką podszywającą się pod nazwisko Anielci Dubois i wraca do Loli. Harmonja pomiędzy małżonkami odtąd panuje idealna.

W chwili jednak, gdy szczęście małżeńskie dochodzi do zenitu i Lola poczuwa się przyszłą matką, na horyzoncie pojawiają się nowe chmury. Przed kilkunastu tygodniami uwięziony Alfred Robber ucieka z więzienia i pewnego wieczora, jak zły duch zjawia się w buduarku Loli. Dostaje się przez okno i pod groźbą wyznania całej prawdy mężowi Loli wymusza na Loli zaopiekowanie się nim. Hrabina drżąc o swoją pozycję ulega ślepo w wszystkiem łotrowi i stara się uśpić wszelkie podejrzenia męża, który dowiaduje się, że w obręb pałacu dostał się jakiś włóczęga.

---

Kazimierz nie kochał Loli tak tkliwie i serdecznie jeszcze nigdy dotychczas — nie była mu drogą sercu, jakby sobie tego życzył od swojej żony, — zawsze jeszcze stał pomiędzy nim a nią obraz owej słodkiej dziewczynki, obraz jego ukochanej Anielci. Nawet obecnie, pomimo, że musiał tę dziewczynę uważać za komedjantkę zręczną, nawet teraz owa zniesławiona Anielcia była mu stokroć droższą, aniżeli jego żona.

A jednak w tej chwili, kiedy usłyszał, że Lola nosi dziecko pod sercem, opanowało go jakieś ogromne rozrzewnienie, — najsubtelniejsze uczucia pochwyciły go przemocą. — Dziwnie uroczysta godzina życia nadeszła i ogarnęła go całkowicie!

Bo czyż to nie najświętsza godzina godzina wielkiego szczęścia dla męża, kiedy mu wyszeptała zaślubiona wobec Boga kobieta:

„Noszę twój obraz pod sercem, tyś mi go darował, ja ci go oddam, ale ukształtowany na podobieństwo Boże, twoje ciało, twoją krew!"

Tylko nieokrzesane, zepsute natury nie pojmują uroku tej chwili, ludzie stojący na najniższym szczeblu moral-

ności, powodowani tylko zwierzęcym instynktem i spaczonemi uczuciami, — tacy tylko nie potrafią odczuć głębi tego ważnego wyznania.

Rewolwer wypadł z ręki Kazimierza na kobierzec. W następnej chwili objął uszczęśliwiony małżonek swoją żonkę, — jeszcze nigdy nie spoczął na jej ustach tak uroczysty pocałunek czystej miłości i szczęścia.

„Lolu, moja droga żonusiu, obdarzysz mnie dziecięciem!“ — zawołał Kazimierz — „ach, jakże mam ci zato dziękować! Dzisiaj, Lolu, dzisiaj złączył nas los ogniwem, które nie da się rozedrzeć! Jak długo miła dziecina nie połączy małżeństwa jako spójnia, — nie zaświeci jak urocza gwiazdka na horyzoncie pożycia małżeńskiego, tak długo małżonkowie nie należą właściwie całkiem do siebie! Dopiero jak zejdzie ta gwiazda i rozświeci swem łagodnem światłem duszę mężczyzny i kobiety, upiększy swem bogactwem domowe zacisze, wówczas dopiero łączy się mężczyzna z kobietą prawdziwie, oboje stają się jedną duszą, jednem jestestwem!

„Jak mam ci dziękować, moja droga, za to śliczne, niespodziane zeznanie“, mówił Kazimierz dalej, głaszcząc jej jedwabne włosy na głowie, „co za radosna niespodzianka! — Ach tak, tego, — tego nam dotychczas brakowało. — Teraz spłynie spokój na mą duszę, — zaspokoją się wszelkie moje życzenia“.

Kazimierz uniósł się tylko powodowany uroczystą tą chwilą, w głębi duszy wiedział jednak dobrze, że mówiąc to sam siebie okłamuje. — Spokój jego duszy znikł z tą chwilą, kiedy się przekonał, że Anielcia Dubois, czyli dziewczę to, które się tak przed nim nazwało, nie spoczywa na cmentarzu Montmartre, — że ona żyje.

Kiedy się o tem dowiedział, stanął obraz ukochanej znowu z całą żywością przed okiem jego duszy. Czuł, że magiczna sieć miłości, która oplątała mu serce, podbiła znowu wszystkie jego myśli i uczucia.

Ale nie, — on nie chciał wpuszczać napowrót tego uczucia do swej duszy. Choćby nawet żyła ta dziewczyna, którą sądził już dawno w grobie, — czemże mogłaby ona być mu więcej, chociażby ją nawet spotkał gdzieś! — Kochał ją wówczas, kiedy ją uważał za czystą niepokalaną istotę! — Teraz jednak, skoro wiedział, wierzył przynajmniej, że wie, że ona nędzną oszukanką, która chciała wykorzystać przypadkową znajomość tajemnicy i komedją przywłaszczyć sobie obce nazwisko i obcy majątek, — teraz nie zgadzało się nawet z jego honorem, by kochać ją dalej.

Nie, on musiał zapomnieć o niej! A tem łatwiej przyjdzie mu to teraz, kiedy będzie widział w Loli nietylko swoją żonę, ale także matkę swego dziecka.

Ucałował Lolę w czoło. Ona jednak nadstawiła mu swoje bujne usta. W chwili, kiedy dotknął się wargami jej ust, zapomniała nawet na swój przestrach, który ją trzymał w uwięzi.

Nie myślała więcej o tem, że tuż za jedwabną, niebieską firanką kryje się ów straszny mężczyzna, który jednem poruszeniem jest w stanie zniszczyć jej sztuczne, fałszywe na glinianych no-



*W Warszawie wprowadzono policję kobiecą. Kobiety policjantki mają m. in. za zadanie opiekowanie się dziećmi. Na zdjęciu widzimy panie posterunkowe, jak udzielają wyjaśnień chłopczykowi, który się do nich zwrócił z jakiemś pytaniem.*

gach spoczywające szczęście.

Ale Kazimierz sam zerwał bezmiłosiernie całą jej iluzję. — Przycisnąwszy ją powtórnie do piersi, odezwał się do niej z troską w głosie:

„Widzisz, moja droga Lolu, że teraz mam podwójny obowiązek czuwać nad twem bezpieczeństwem. W twym stanie byłoby więcej jak niebezpiecznie, gdyby nagle jakiś włóczęga stanął tuż przed tobą. Taki strach zniweczył już nieraz młodej kobiecie zarodek jej miłości, rozbił w puch wszelkie nadzieje, jakie na pewno, z czułością żywiła. Chodź, przekonam się przynajmniej, czy tu w tym pokoju nie ukrywa się jaki łotr“.

Chciał się wysunąć z jej objęć, ale Lola trzymała go silnie, — nie puszczała.

„Jakiś ty niemiłosierny, Kazimierzu“, zawołała, „w najszczęśliwszej godzinie mego życia, spędzasz mi czarowny sen z powiek, mieszasz do uciechy jakieś blahe niepokoje, wymarzone strachy! W tym domu niema żadnego rabusia ani złodzieja, w moim pokoju niema go nawet na pewno. Zresztą kiedyś tak niespokojny o mnie przyrzekam ci zaraz po twojem wyjściu zaryglować drzwi. Wówczas nie potrafi przecież wtargnąć do mnie“.

„Mógłby przez okno dostać się do pokoju kąpielowego“, zarzucił Kazimierz, „następnie łatwoby mu przyszło otworzyć tapetowe drzwi. Pozwól przynajmniej, że zajrzę do łaźni“.

Na to nie mogła Lola pozwolić, bo właśnie tam schowała stół z resztkami jadła, które zostawił Alfred Robber. W tym pokoju leżały również łachmany, które zrzucił z siebie złoczyńca.

„O, nie, w pokoju kąpielowym niema go napewno“, odparła Lola, — „sama zamknęłam drzwi i — i klucz od nich mam w kieszeni“.

Gdyby Kazimierzowi przyszło na myśl spytać się, gdzie ten klucz, nie mógłby mu na to odpowiedzieć, — pytanie takie wprawiłoby ją w największy kłopot. Ale na szczęście nie myślał młody hrabia zadawać swojej żonce takiego pytania.

„A więc dobrze, moja kochana“, odezwał się ściskając jej rękę, „nie chcę ci dalej przeszkadzać, bo zapewne jesteś zmęczoną.“

„Ach, tak okropnie zmęczoną jestem co więcej same oczy mi się zamykają co mi się przecież nigdy nie przytrafia w twojem towarzystwie! — Ach, ja chciałabym cię dzisiaj jeszcze długo zatrzymać i wypieścić się z tobą do syta ale tego nie wolno, spytaj się sam doktora, więc proszę cię, mój drogi, słodki Kazimierzu, zostaw mnie dzisiaj samą idź spać, ucałuj mnie jeszcze raz i dobranoc, do widzenia, do jutra!“

„Dobranoc, moja droga“, zawołał Kazimierz całując ją znowu z taką serdecznością, z jaką jej jeszcze nigdy nie całował, — dobranoc, — niech Anioł Stróż cię strzeże, — to znaczy — was strzeże“, dodał z uśmiechem, „ciebie i dziecko!

„Wie już o tem twój ojciec, Lolu?“ — spytał Kazimierz — „czy może Elzie się przyznałaś?“

„O nie, ty musiałeś pierwszy się dowiedzieć! Zresztą do tej godziny nie śmiałam sama uwierzyć w to, — nie chciałam się przyznać sama przed sobą. — Ach Kazimierzu, ja jestem najszczęśliwszą żoną na ziemi, — ja nie zasługuję na tyle szczęścia, — nie, nie, — ja nie zasługuję na to!“

Wśród tych słów powiodła hrabiego delikatnie i powoli aż do drzwi wychodowych, tak zręcznie, że on sam nie zauważył tego. Drżała tylko wewnętrznie, że nie zechce i teraz nawet opuścić jej na tę noc.

Tymczasem Kazimierz złapał jedną ręką za klamkę, a podając drugą jeszcze raz Loli zawołał dziwnie serdecznym, miękkim tonem, ze łzami w oczach.



*Kobiety abisyńskie w Addis Abeba przeprowadziły wielką zbiórkę na rzecz obrony krajowej, przyczem — jak widzimy na zdjęciu — datki były nader pokaźne.*

„Moja kochana, droga żonusiu, musimy wychować nasze dziecko tak, aby wyrosło na porządnego i zacnego człowieka."

„Ach tak, to musimy!" zawołała piękna uwodzicielka tą razą ze szczerym zapałem. Pomimo tego, że była tak złą i zepsutą dla swego dziecka miała jak najlepsze życzenia. Zresztą wykosztowała aż za dokładnie na sobie samej, co za nieszczęście, jeżeli się zbacza z uczciwej drogi.

„Jutro przy śniadaniu zobaczymy się znowu, Kazimierzu", zawołała, „chciałabym tą razą wspólnie z tobą zjeść śniadanie. Ale teraz dosyć już tej pogadanki, pozwól, że się położę — dobranoc mój drogi!"

Kazimierz wypuścił jej rękę zwolna ze swojej dłoni, — już przekroczył próg cofając się pomału, gdy w tem nagle drgnął jakby ukłuty przez osę, cicho, ale z podrażnieniem wołając:

„Teraz Lolu widziałem dokładnie, jak się za firankami twego łóżka coś poruszało, nie słyszałaś żadnego szelestu?"

Loli zdawało się, że zapada się w ziemię. Spodziewała się już napewne, że wygrała sprawę, tymczasem jedno nieostrożne poruszenie tego nędznego Alfreda Robbera miało ją przyprawić o zgubę. Ach ten łotr! — Zaraz jutro musi wyjść z domu, a jeżeli nie zechce dobrowolnie, w takim razie gotowa się rzucić na niego, zabić go, lub trucizną zgładzić ze świata! Tylko wydalić się musi, precz musi pójść za wszelką cenę!

Ale jutro, cóż miało jej pomóc jutro, kiedy dzisiaj miało się wszystko odkryć niestety! To zdało się nieuniknionem. Bo Kazimierz nie dał się dłużej zatrzymać, — odsunął ją delikatnie, ale stanowczo na bok, — sam zaś podszedł ku łóżku, — ręce jego schwyciły jedwabną materję, — firanka targnięta odsunęła się.

Na pół stłumiony okrzyk wydobył się z piersi Loli, okrzyk ulgi, Alfreda Robbera nie było widać!

„Znowu się omyliłem", odezwał się Kazimierz zasuwając firankę, „ha, to fantazja moja podrażniona tem zagadkowem stłuczeniem szyby tak mnie oszukuje, ale teraz nie chcę ci ani na chwilę dłużej przeszkadzać w nocnym odpoczynku. Śpij smacznie i niech cię pokrzepi dzisiejsza noc, — śnij słodko! Ale jakaś ty blada i przerażona, Lolu. Doprawdy, teraz powinienem właściwie sam siebie zabesztać za to, żem ci zamącił spokój jakiemiś pełnymi strachu obrazami! Śpij spokojnie i zapomnij o wszystkiem, com ci niedorzecznego naopowiadał o tym rabusiu. Przekonałem się przecież sam naocznie, że niema tutaj nikogo, tylko moje nerwy mnie łudzą."

Jeszcze raz złożył Kazimierz pocałunek na jej czole, poczem opuścił pospiesznie sypialnię. Tuż za sobą usłyszał zatrzaśniętą zasuwkę, to Lola zamykała się od wnętrza.

Najwyższy czas był już, że została sama i że jej nie mógł dalej Kazimierz obserwować, bezsilnie padła jakby omdlała, kilka minut przeleżała bez ruchu na miękkim kobiercu, rozportartym na podłodze.

Kiedy powstawszy do połowy skierowała swój wzrok na łoże, usłyszała tuż z za niego jakiś ochrypły śmiech.

Szatańsko przekrzywiona twarz Alfreda Robbera wyglądała z pod łóżka, ochrypłym głosem zawołał demon jej losu z szyderstwem:

„Tak, panie hrabio, syn pańskiej żony będzie wykapaną podobizną ojca, tylko nie pańskie, moje rysy będzie miał!"

Podniósł się podczas tych słów, wysuwając się z pod łóżka, podszedł do Loli i schwycił ją za ręce.

„Szatanie, czego chcesz?" — zawołała Lola drżąc na całem ciele i kierując przerażone oczy na twarz Robbera, zeszpeconą zwierzęcą namiętnością.

„Ciebie!" — zasyczał bandyta głucho i jak dziki zwierz porwał swoją zdobycz w ramiona, podniósł Lolę w górę i zaniósł ją na jej jedwabne łoże.

## LXXXIII

### Niewolnicy europejscy

Gdy Anielcia pamiętnej no[illegible] dom Halerów i ulicam[illegible]cy opuściła nie zdając sobie n[illegible], sama jeszcze kroczyła, doz[illegible]razie sprawy dokąd, samotności [illegible]awała uczucia takiej się [illegible], jak nigdy. Mimowoli cisnęła [illegible] myśl piosenka ludowa, którą kiedyś słyszała opiewająca biedną sierotę, która szła w świat na wiatry i burze życiowe, nie wiedząc gdzie głowę skłoni. I ona los taki dzieliła, i ona nie wiedziała, gdzie spocznie. Los, który dał jej w rodzinie Halerów przyjaciół, odebrał jej ich napowrót, dom, w którym się czuła jak u siebie, stał się pustką. Pan dał, Pan wziął. I stoi bezradna w tem ogromnem, bezlitosnem mrowisku ludzi, co się Paryżem zwie. Tyle ludzi a tak mało ludzi z sercem, którzyby się nad sierotą zlitowali, gdzie ich szukać zresztą?

I jeszcze nigdy nie ogarnęło ją do tego stopnia zwątpienie, jak teraz, jeszcze nigdy, jak się jej zdawało, nie przygniótł jej los swą żelazną dłonią do ziemi tak, jak dziś, po stracie jutrzenki, która dla niej na czas jakiś zabłysła — nigdy jeszcze droga, którą iść miała i cała przyszłość nie była tak ciemnością przysłonięta, jak w tej chwili.

Co miała poczynać? Co miała robić, by uniknąć niebezpieczeństwa, które jej ze wszech stron groziło, zwłaszcza tu w wielkiem mieście, w stolicy świata — niebezpieczeństwo, które piękność jej wywoływała.

Mimowoli skierowała Anielcia kroki swoje do Batignolles, do tej pani, u której mieszkała w tym czasie, gdy jeszcze u pani Duprez pracowała. Przedewszystkiem chciała ją prosić o nocleg, a potem po dniu rozważać będzie, coby dla niej najlepszem było.

I gdy na drugi dzień rano przy skromnem śniadaniu siedziała i nad położeniem swojem się zastanawiała, przyszła wkońcu do przekonania, że jej nic innego nie pozostaje, jak iść na służbę.

Służyć! — Gorzkie to słowo, a kto na to gotowy, musi się dobrze uzbroić w pokorę.

Służyć muszą zresztą wszyscy. Na największych stanowiskach ludzie służą także. Nawet książęta na tronie są sługami tych, nad którymi sądzą, bo troszczyć się muszą o ich dobro, powodzenie.

Ale kto się zastanawia nad służbą, biednej a młodej i ładnej dziewczyny. Ten wyraz służba oznacza często dla niej przekleństwo, bo też nikomu ciężej nie służyć, jak jej.

Nietylko, że często zwala się na nią jak najcięższe roboty, pod których ciężarem niemal upada, ale do tego chlebodawcy zamiast wynagradzać należycie te biedne niewolnice, nie mają nawet dla nich dobrego słowa. Kto był w podobnem położeniu, kto służbą zarabiać musiał na kęs chleba, ten wie najlepiej z własnego doświadczenia, jak gorzki ten chleb. Nie rzadko oblewa się go łzami, a okupuje się go upokorzeniami i bolesnemi rozczarowaniami.

Anielcia wiedziała o tem wszystkiem i wzdrygała się, mając przeczucie gorz-

kiej doli. Ale cóż miała robić innego? Czy miała inny jaki wybór?

Była wprawdzie dobrą modystką, doświadczenia jednak, które zebrała, odstraszały ją od tego zawodu.

Takiej, jak pani Duprez, drugiej z pewnością nie było. Takiej dobrej, dla swoich robotnic łaskawej, grzecznej, delikatnej, po macierzyńsku się z niemi obchodzącej szefowej! Bo Anielcia napatrzyła się dosyć na rozmaite inne tego rodzaju salony, wiedziała, co się tam dzieje, co czeka prędzej czy później te dziewczęta, pracujące po salonach mód, — staną się pastwą tych niegodziwców bez sumienia, których wielkie miasto liczy bez miary.

Przypominała sobie ze zgrozą, jak to każdego wieczora, gdy robotnice opuszczały salon mód, rój cały mężczyzn stawał, czekając na rogu ulicy na te biedne młodociane stworzenia. Pracą znużone i znudzone, stanowiły łatwy materjał do zdobycia. Padały więc jak muchy na lep.

Bo któż się dziwić może takiej biednej dziewczynie, kto rzuci na nią kamieniem potępienia, cały dzień zamknięta w pokoju, który z kilkudziesięciu innemi dzieli, — wśród zaduchu od rana do nocy za nędzną zapłatę, która nie wystarcza zwyczajnie na zaspokojenie najzwyklejszych potrzeb, — czyż można się dziwić, że podszepty znajdą w niej wdzięczny posłuch, że oprzeć się nie zdoła namowom, że upada.

Nie, o tem mowy nie było, by Anielcia jako modystka szukała chleba. Myśl tę odpędziła od siebie raz na zawsze.

Jej pragnieniem było znaleźć spokojne miejsce, choć pełne pracy przy rodzinie. Nie potrzebowała przecież wstępować na służbę, jako prosta dziewczyna do ciężkich posług, — miała przecież niezgorsze wiadomości, poczciwy ojciec Dubois postarał się o to, by posiadła obszerną wiedzę. Miała przecież i znajomość języków, mówiła prócz rodzinnego języka polskiego, także po niemiecku i francusku i to tak dobrze, że uważano ją za Francuzkę, inną razą znów za Niemkę, — po angielsku również nie mówiła źle. Grała bardzo dobrze na fortepjanie, malowała trochę, posiadała znaczne wiadomości z historji i literatury, krótko mówiąc nadawała się na dobrą guwernantkę.

Ale tu była nowa trudność. Od guwernantki żądają świadectwa ze złożonego egzaminu. A takich Anielcia niestety nie posiadała.

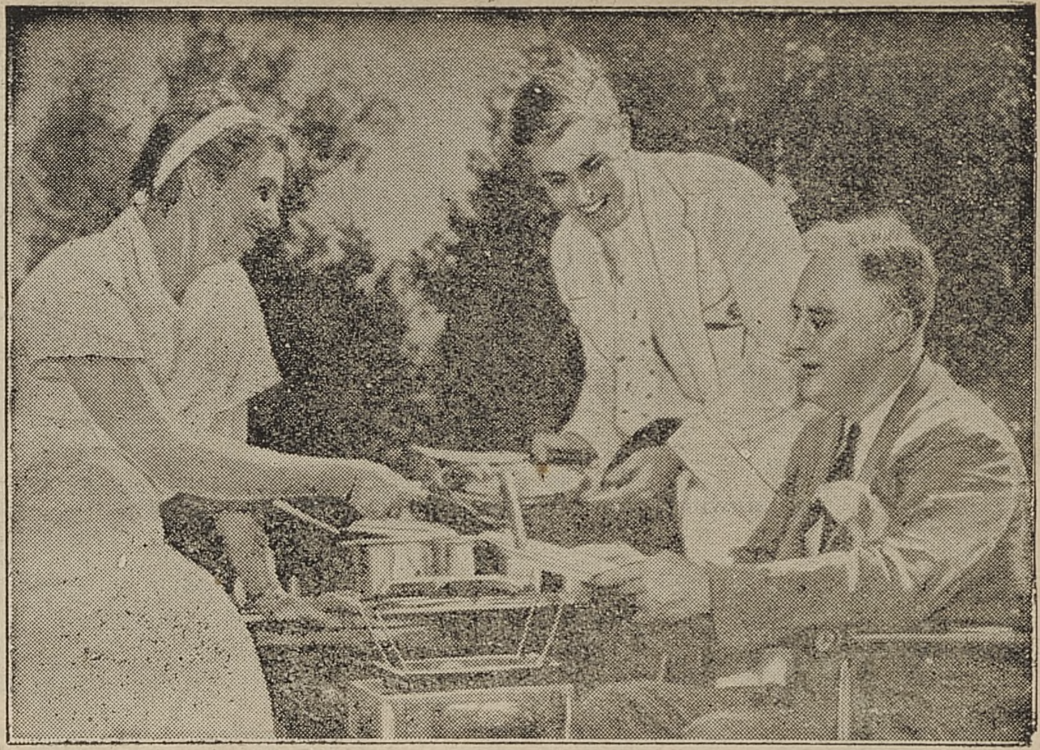
Myśl tę więc porzucić musiała i zadowolić się pozycją bony do dzieci, gdyby się jej taką znaleźć udało.

Zdecydowawszy się na to, by o takie miejsce starać się, nie namyślając się dłużej, wybrała się w drogę na poszukiwanie.

Kobieta, u której narazie teraz przebywała, podała jej adres jednej pani, która trudniła się pośrednictwem miejsc i miała reputację uczciwej i zaufania godnej osoby.

Była to Holenderka rodem, niejaka pani Galen.

Tam Anielcia udała się i przybyła w południowej porze. Już w sieniach, gdy tylko przekroczyła progi domu, w którym się owe biuro pośredniczeń znajdowało, usłyszała wrzawę.



*Prezydent Stanów Zjednoczonych Roosevelt urządził wycieczkę dla przedstawicieli prasy amerykańskiej. Podczas podwieczorku „pierwsza dama Stanów" własnoręcznie przyrządzała parówki dla gości*

Zdawało się jej, jakby za temi wielkiemi drzwiami, przed któremi stała, odbywał się jarmark.

W tem otwarły się drzwi i wyszła dama jakaś, nadzwyczaj elegancko ubrana, owinięta płaszczem jedwabnym. Przeszła szybko koło Anielci, obrzucając ją przeciągłem spojrzeniem.

Przez otwarte drzwi weszła Anielcia do pokoju, który cały był urządzony jak biuro. Rzeźbiona barjera dzieliła go na dwie połowy. Za barjerą stał przy pulpicie wychudły, jakby wygłodzony pisarz. Za oszalowaniem szklannem, opatrzonem osobnemi drzwiami widać było jakąś panią. Była to właścicielka biura, sama pani Galen.

Całą przestrzeń od barjery aż do drzwi zajmowały dziewczęta, tłocząc się niemal. Wszystkie, podobnie jak Anielcia, szukały miejsca lub jakiego zarobku.

Każda z nich niemal trzymała w ręce książkę służbową lub papiery, kilka dystyngowanych pań zajęte były przeglądaniem dokumentów, to rozmową z dziewczętami, które brać na służbę zamierzały.

Anielcia stanęła w kącie. Serce biło jej jak młotem. To, na co teraz patrzyła, było jej zupełnie obcem, czegoś podobnego dotychczas widziała. Nie miała dotąd pojęcia, w jaki sposób angażowanie do służby się odbywa, teraz widok tego miała przed sobą.

A jakich rozmów musiała być świadkiem! Jak oburzało ją, widząc, jak niektóre z tych pań, które los bogactwami wyposażył, zgóry traktują te biedne dziewczęta, dając im w bolesny sposób odczuwać, jak nisko pod niemi stoją i że są od nich zależne.

A jakie brudne skąpstwo wychodziło przytem na jaw...

Tam koło samych drzwi ta wysoka dama z aksamitnym płaszczem, którego wartość sama mały mająteczek reprezentowała, targowała się z dziewczyną, która zdaje się, podobała się jej, o całe dwa franki, które jej urwać chciała.

Inna oświadczała i to do tego jeszcze podniesionym głosem, tak, że wszyscy słyszeć mogli, że na wieczór nie daje chleba z masłem. Suchy chleb wystarcza do herbaty.

Naturalnie dziewczęta, co śmielsze i doświadczeńsze nie pozostawały dłużne stosownej odpowiedzi. Padały i z ich strony ostre i drwiące słowa. Anielcię dziwiły z drugiej strony także warunki, jakie służące paniom stawiały.

I tak jedna żądała, by każdego dnia, kiedy skończy robotę, mogła wychodzić z domu, musi się schodzić ze swoim narzeczonym.

Druga dopytywała się znowu o piek męża pani. A gdy usłyszała, że sześćdziesiątkę przekroczył, wzruszyła ramionami, mówiąc:

„Nie, proszę pani, to nie dla mnie służba!"

W pół godziny później zgodziła się ta sama dziewczyna do innej pani, która nawiasem wspomniała, że ma dwóch synów, jeden oficer, a drugi student.

Anielcia rumieniła się, to bladła naprzemian. Widziała wkoło siebie tyle nędzy, upokorzenia, pychy, zarozumiałości, zepsucia, jak dotychczas nigdy jeszcze w życiu. To był całkiem inny świat, do którego nagle weszła, — do którego los ją gwałtownie wtrącił, — a z któregoby chętnie znowu uciekła.

Ale Anielcia była natury nie chwiejnej, co raz sobie przedsięwzięła, tego dokonać musiała, dlatego więc i została. Nie pchała się naprzód, dlatego też czekała trzy godziny całe.

Wkońcu tłok dziewcząt przerzedził się, a nareszcie i przedostatnia wyszła,

godzina obiadu zbliżała się, — przybycia jakiej z pań o tej godzinie trudno się było spodziewać.

Pani Galen wyszła z poza oszalowania szklannego i zmierzyła zdziwionym wzrokiem Anielcię.

„Widzę cię, dziecko, już z kilka godzin tu stojącą“, przemówiła, „czy oddałaś już papiery swoje pisarzowi? Szukasz miejsca lub życzysz sobie czego innego?“

„Przepraszam panią“, odpowiedziała Anielcia, „nie wiedziałam, że papiery są koniecznie potrzebne. Ja nie mam żadnych, którymi mogłabym się wykazać, żem miała jakie miejsce.“

Odpowiedź ta uczyniła na pani Galen widocznie niekorzystne wrażenie; wzruszyła ramionami i mówiła dalej:

„W takim razie trudno, moje dziecko, by się co dało zrobić. Ale chodź tu do mego prywatnego kantoru. Możemy z sobą trochę pomówić, poznamy się trochę bliżej z sobą.“

Za chwilę siedziała Anielcia w kantorze pani Galen, za tem oszalowaniem, za którem ją przedtem widać było, jak długo ciemno-zielone firanki nie były zaciągnięte.

Teraz zasłoniła niemi pani Galen okno i zapaliła lampę.

Przy świetle tejże wyglądało tu teraz wcale przyjemnie i swojsko jakoś zarazem.

Badawczym wzrokiem zmierzyła pani Galen postać Anielci. Widać było po niej, że się jej nadzwyczaj podobała.

„Na jakież miejsce reflektowałabyś, moja panno?“ spytała Holenderka. „Do podlejszej służby, jak widzę, nie nadajesz się, a na inne jakie miejsce potrzeba świadectw, — ba, więcej jeszcze, bo dobrych poleceń. A ty nie masz nic z tego, czy tak?“

„Nie, pani“, odparła Anielcia, „ja jeszcze nigdy nie służyłam.“

„Cóż robiłaś przedtem?“

„Byłam, proszę pani, dotychczas w domu przyjaznej mi rodziny. Ale pani, u której byłam po części do towarzystwa, umarła nagle, a temsamem i ja dłużej w tym domu pozostać nie mogłam. Myślałam, że możebym się mogła dostać gdzieś jako guwernantka albo bona do małych dzieci. Całem mojem staraniem byłoby, zadowolić tych, którzyby mnie zechcieli.“

„Czy mam mówić z tobą otwarcie, moje dziecko?“ zapytała właścicielka biura, patrząc na Anielcię przenikliwym wzrokiem.



*Książę Lukner, sławny komendant „Orła Morskiego“ przybył wraz z żoną poraz pierwszy po wojnie światowej do Anglji, witany bardzo owacyjnie przez kolegów frontowych.*

„I owszem, bardzo proszę o to“, odparła łagodnym głosem dziewczyna, „będę pani wdzięczna za otwartość.“

„Słuchaj więc, daję ci dobrą radę: nie przyjmuj nigdy służby w domu, gdzie są młodzi mężczyźni. Albo nie wytrzymałabyś tam długo, albo musiałabyś się zdecydować na — robienie pewnych koncesji.“

„Jak to pani rozumie?“

Pani Galen otworzyła oczy ze zdziwieniem. Czy udawała, czy też była naprawdę taka niewinna ta dziewczyna, że nie wiedziała nawet, jakie jej niebezpieczeństwa grożą ze strony młodych mężczyzn?

Nie, pani Galen poznała natychmiast, że te oczy kłamać jeszcze nie umieją, że to był wzrok, z którego cała jeszcze niewinność, niepokalane dziewictwo wyglądało. I tem zdobyła sobie Anielcia miejsce.

Nie z tego powodu, by pani Galen tak bardzo cnotę ceniła, nie, ona sama miała za sobą przeszłość, a zawód jej także nie nadawał się do tego, by dziewczętom kazania prawić o moralności i cnocie stróżować. Ale w jej pojęciu cnota łączyła się z naiwnością i wiernością, a ona potrzebowała właśnie dziewczyny, której się nie potrzebaby było bać i jakiemiś względami krępować. Otrzymała bowiem ciekawe zlecenie: miała dla jednej damy, która mieszkała w jednej z najbardziej eleganckich ulic Paryża, postarać się o towarzyszkę, któraby o ile możności była, w wysokim stopniu głupia, a przytem posiadała przymioty ciała, — piękność zewnętrzną.

Polecenie nie łatwe do spełnienia i pani Galen wątpiła już, czy je będzie mogła spełnić. Bo gdzież szukać młodej dziewczyny, któraby z jednej strony była bardzo piękną a z drugiej strony równocześnie tak tępego umysłu, by sobie nie zdawać należytej sprawy z tego, co ją otacza.

Pani Galen oparła się o poręcz krzesła, na którem siedziała, wyjęła pince-nez, włożyła na nos i jeszcze raz Anielcię badawczym objęła wzrokiem.

„Posłuchaj mię, moje kochane dziecko“, rzekła po małej pauzie, otwierając wielką, grubą księgę, która przed nią na stole leżała, „zdaje mi się, że może mi się uda, umieścić cię i to o wiele korzystniej, jakbyś się mogła spodziewać. Mam polecić jednej damie przy ulicy Rue Lafayette młodą dziewczynę, która będzie miała w tym domu nadzwyczaj przyjemną pozycję. Pani ta zamieszkuje sama cały dom, bo składa się on tylko z parteru i jednego piętra, — zbudowany w bardzo eleganckim stylu i z komfortem urządzony. — Jedzenie każe sobie ta pani przynosić z sąsiedniego hotelu. Z kuchnią nie miałabyś więc zgoła nic do czynienia. Oprócz tego jest stara kobieta dochodząca, która rano przychodzi i przez dzień załatwia ciężkie roboty.“

„A cóż ja miałabym robić?“ pytała Anielcia, „ja się nie wzdrygam przed żadną robotą, — miejsce więc, gdziebym miała siedzieć z założonemi rękami, wcale nie przypadałoby mi do gustu.“

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

## Darmo 60 zł. w gotówce

W związku z otwarciem naszego działu wysyłkowego i w celu zjednania sobie konsumentów wśród najszerszych warstw społeczeństwa na nasze najprzedniejsze towary, postanowiliśmy rozdać klijentom 100 premji po 60 zł. w gotówce.

| | | |
|---|---|---|
| | | |
| | 5 | |
| | | |

Kto nadeśle prawidłowe rozwiązanie szarady wraz z zamówieniem na jeden lub więcej kompletów może otrzymać 60 złotych w gotówce.

W osiem wolnych kratek należy wstawić liczby dowolne od 1 do 9 w ten sposób, aby suma w wszystkich kierunkach dała liczbę 15.

Chcąc uzyskać liczną rzeszę klijentów, obniżyliśmy ceny naszych kompletów do poziomu nigdy dotąd nienotowanego, a więc

TYLKO ZA ZŁ. 11.22 gr.

wysyłamy: 3 metry materjału na modne ubranie męskie szer. 140 cm (wzory bielskich kamgarnów), 1 pulower męski specjalnie na zimę w żakardowych deseniach z kołnierzem szalowym lub z zamkiem, 1 koszulę męską w doskonałym gatunku, 1 parę kalesonów z wyborowego białego trykotu, 1 parę rękawiczek męskich wełnianych podwójnych, 1 szal wełniany męski w śliczne wzory, 1 parę skarpetek deseniowych bardzo mocnych i 3 chusteczki do nosa z ładnym szlakiem. Taki sam komplet tylko w pierwszorzędnym gatunku kosztuje zł. 13.52 gr.

TYLKO ZA ZŁ. 12.78 gr.

wysyłamy: 4 metry materjału o najnowszym wyrobie o pięknem wiązaniu na elegancką suknię damską, 1 pulower damski najmodniejszy w obecnym sezonie, 1 chustkę zimową w ładne kraty, 1 parę pantofli damskich (podać nr. obuwia) 1 koszulę damską zimową p. wełnianą lub jedną koszulę płócienną elegancką, 1 parę reform z dobrego elastycznego trykotu 1 parę rękawiczek damskich luksusowych, 1 apaszkę damską wełnianą w najnowsze wzory 1 parę pończoch damskich wełna z jedwabiem w dobrym gatunku, 1 bombonierę kosmetyczną i 3 chusteczki do nosa batystowe z jedwabnemi ząbkami. Taki sam komplet tylko w pierwszorzędnym gatunku kosztuje zł. 15.78

TYLKO ZA ZŁ. 23.93 gr.

wysyłamy: 1 sztukę płótna białego 17 metrów z dobrą marką fabryczną na bieliznę męską, damską i elegancką pościel, 10 metrów płótna kremowego w doskonałym gatunku na bieliznę wszelkiego rodzaju lub 2 kołdry pikowe na łóżka w eleganckie kwiaty żakardowe (kolory trwałe), 10 metrów flaneli bieliźnianej miękkiej i puszystej na różną bieliznę i na wyroby damskie i 10 metrów płótna ręcznikowego białego na dobre trwałe ręczniki lub prześcieradła pełnej długości i szerokości.

Komplety wysyłamy za zaliczeniem pocztowem, płaci się przy odbiorze towaru. Bez ryzyka, o ile towar się nie podoba przyjmujemy z powrotem, a pieniądze natychmiast zwracamy.

Adresować prosimy:

**Firma „Polska Manufaktura"**

**Łódź, ul. Pomorska 22 oddz. 8.**

UWAGA: Zaznaczamy, iż to nie jest loterja ani losowanie, tylko każdy klijent, kto nadeśle prawidłowe rozwiązanie szarady wraz z zamówieniem może otrzymać 60 złotych w gotówce. Podział i wysłanie nagród odbędzie się 5 listopada 1935 r.

## Darmo 50 zł. w gotówce

może otrzymać każdy czytelnik niniejszego pisma

Z okazji otwarcia działu wysyłkowego, jak również celem zwerbowania sobie stałych klijentów i rozpowszechnienia naszych towarów wśród najszerszych warstw konsumentów naszego kraju, postanowiliśmy rozdzielić 1000 premij po 50 złotych w gotówce pomiędzy klijentów, którzy nadeślą zamówienie na jeden lub więcej kompletów i załączą prawidłowe rozwiązanie szarady.

| | | |
|---|---|---|
| | | |
| | 5 | |
| | | |

Objaśnienie: w 8 wolnych kratek należy wstawić liczby dowolne od 1—9 w ten sposób, aby suma ich we wszystkich kierunkach dała liczbę 15.

Nie bacząc na wielkie premje pieniężne, postanowiliśmy również obniżyć ceny naszych kompletów do minimum.

### Nasze reklam. komplety 70% zniżki

TYLKO ZA ZŁ 11 GR 70

wysyłamy: 3 mtr materjału na ubranie męskie, jesienne lub zimowe, bardzo modne (desenie bielskich kamgarnów), pełnej podw. szer. 140 cm, 1 swetr męski, zimowy, gruby i ciepły w deseniach żakardowych z szalowym kołnierzem lub z zamkiem amerykańskiem, 1 koszulę męską w bardzo dobrym gatunku z modnem wykończeniem satynowem, 1 p. kalesonów w doskonałym gatunku, 1 p. skarpetek deseniowych b. mocnych, 1 pasek zamszowy do spodni z ładną niklową klamrą, 1 szal męski, wełniany w modne desenie i 3 chusteczki męskie do nosa z kolorowym szlakiem.

TYLKO ZA ZŁ. 12 GR. 85

wysyłamy: 4 mtr materjału na modną damską suknię w piękne wzory i desenie obecnego sezonu, 1 chustkę zimową w kraty jasne lub ciemne, 1 p. pantofli damskich (podać rozmiar obuwia), 1 pulower damski najmodniejszy „ostatni krzyk mody", 1 koszulę damską, luksusową z ładnem wstawieniem jedwabnem w kolorach wszystkich (według żądania), 1 p. reform z elastycznego trykotu we wszystkich rozmiarach, 1 p. pończoch damskich, jedwabnych w doskonałym gatunku, 1 pasek, 1 p. rękawiczek damskich, eleganckich, 3 chusteczki damskie, batystowe z jedwabną obwódką i 1 bombonierę toaletową.

TYLKO ZA ZŁ. 25 GR. 30

wysyłamy: 1 sztukę płótna białego 17 mtr. na bieliznę wszelkiego rodzaju lub pościel w b. dobrym gatunku, 2 kołdry pikowe na łóżka w eleganckie kwiaty żakardowe w dobrym gatunku, 6 mtr. flaneli bieliźnianej miękkiej i puszystej na wszelką bieliznę, pyjamy i szlafroki, 6 mtr. zefiru w modne prążki na koszule męskie dzienne i 6 mtr. ręcznikowego czysto białego w kostki lub 6 ręczników waflowych z frendzlami.

Komplety powyższe wysyłamy za zaliczeniem pocztowem na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze na poczcie.

Bez ryzyka: Jeżeli towar nie podoba się, przyjmujemy go z powrotem, a pieniądze za takowy natychmiast zwracamy.

Adresować:

**FIRMA „POLSKA TKANINA" Łódź,**

**ul Moniuszki 3 oddz. 42.**

Zaznaczamy, iż nie jest to żadna loterja, ani losowanie, tylko każdy, kto nadeśle prawidłowe rozwiązanie szarady wraz z zamówieniem może otrzymać 50 złotych w gotówce.

Podział i wysyłanie nagród odbędzie się 31 października 1935 r.

---

Do 10-tego października przyjmują poczty prenumeratę „M. Powieści" na miesiąc październik

---

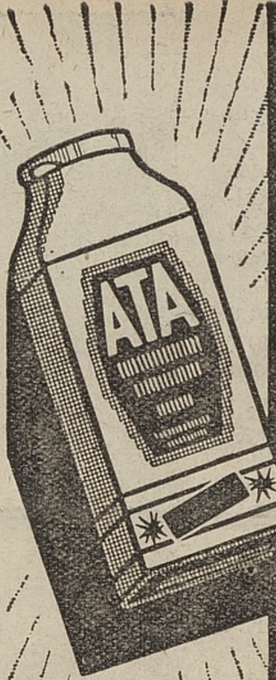
**Ogłoszenia drobne:**

FUTER damskich pracownia poleca lisy, kurtki, futra. Kalksteinowa, Poznań, Ratajczaka 26

KILIMÓW artystycznych tkalnia Poznań, Ratajczaka 26.

AGENTÓW z gotówką 30,zł. do sprzedaży obuwia, pończoch i wełny poszukuje w wszystkich miejscowościach. Wynagrodzenie stałe oraz prowizja. Bojanowski, Łąg-Pomorze.

---




Do szorowania i czyszczenia tylko

**ATA**

godna jest polecenia.

**ATA** czyści i szoruje wszystko!

WYRÓB ZAKŁADÓW „PERSIL" POL. SP. AKC. BYDGOSZCZ

A 297/34 a

---

**Żurnale mód**

krajowe i zagraniczne

**25% tańsze**

tylko:

**LESIKOWSKA, BYDGOSZCZ**

— Poznańska 7. — Tel. 21-78. —

---

**UWAGA BYDGOSZCZ!**

Ilustrowany Tygodnik
— dla Wszystkich —

**„MOJE POWIEŚCI"**

są do nabycia w Bydgoszczy:
**HELMUT REETZ**, ul. Długa 23, (kiosk gazetowy) oraz
**AGATA LESIKOWSKA**,
— Skład papieru i czasopisma —
ul. Poznańska 7. Tel. 21-78.

---


PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8

Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.

P. K. O. Nr. 207.393

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł itd. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Red. nacz. i wydawca: Alfred Ksycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki, Żnin.